CHIMERA.



TOM II. ZESZYT 6. CZERWIEC 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 6. — CZERWIEC 1901.

RAMON DE CAMPOAMOR. . . . *Licencyat Torralba* (Część I) . . 361
Inicyały EDW. OKUNIA.
WACŁAW BERENT . . . . . . *Próchno* 398
Inicyały i przerywniki: ST. DĘBICKIEGO (str. 405, 427), HOKUSAI'A (str. 435), ST. KRZYSZTAŁOWICZA (str. 398), T. NOSKOWSKIEGO (str. 414), JANA STANISŁAWSKIEGO (str. 413).
LEOPOLD STAFF. . . . . . *Pieśni szaleńca.* 436
Inicyał nagłówkowy ST. DĘBICKIEGO; zakończenie KOLO MOSER'A.
WŁ. ST. REYMONT . . . . . . *Komurasaki* 446
Nagłówek tytułowy ST. DĘBICKIEGO; ozdoby w tekscie HOKUSAI'A
HENRYK OCHENKOWSKI . . . . *Spokój* 461
CHRYSTYAN D. GRABBE. . . . *Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie* 464
Nagłówek z Libri Sententiarum z XIV w. (Mss. № 12. — Bibl. Bawor. we Lwowie) — przerysowany przez ST. DĘBICKIEGO; grotesk końcowy ze starego rękopisu francuskiego.
JAN LEMAŃSKI . . . . *Nokturn* 498

KRONIKA MIESIĘCZNA.

TREDECIM . . . . *Glossy* 502
Z. P. . . . . *Teatr* 503
Książki i czasopisma nadesłane . . 510
CHIMERA . . . . *Varia* 515

ALEKSANDER GIERYMSKI . . . *Plac Maksymiliana w Monachium.*

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczem.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali: FELIKS DĄBROWICZ i JAN LIPIŃSKI.
Łamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Licencyat Torralba.

Licencyat kawaler Eugeniusz Torralba jest to postać w rodzaju Twardowskiego lub Fausta. Legendy o nim w Hiszpanii były liczne i bardzo upowszechnione — choć nigdy się nie powiązały w jakąś powieść zamkniętą i jednolitą. Literatura szczególnym sposobem mało z nich korzystała; i tylko u Cervantesa znajdujemy krótką o Torralbie wzmiankę. Mianowicie, w opisie podróży powietrznej na drewnianym koniu, Don Kichot wspomina, mówiąc do Sancza, jak to licencyat w ciągu kilku godzin przeleciał powietrzem z Madrytu do Rzymu i z powrotem; radzi mu przytem, aby oczu nie odsłaniał — i przypomina też, że w pewnej chwili tej wyprawy dyabeł pozwolił Torralbie oczy otworzyć, ten zaś ujrzał księżyc tak blizko, że ręką mógł go dotknąć.

Torralba był postacią historyczną. — Urodził się w Cuence, a w 15-ym roku życia znajduje się w Rzymie, jako paź biskupa Volterry, monsignora Franciszka Soderiniego, który w r. 1503 został kardynałem.

Był to jeden z tych ludzi uniwersalnych, w jakich obfituje wiek Odrodzenia. Pożądliwie studyował wszystko: literaturę, filozofię, retorykę, fizykę, politykę, astrologię, medycynę, moralność, magię i teologię — i w młodym wieku zasłynął jako uczony. Duch niespokojny, umysł badawczy, wyobraźnia płomienna, ruchliwość niepospolita — popychały go do ciągłych podróży, wypraw, badań, przygód. Jeździł nieustannie z kraju do kraju, z miasta do miasta, z akademii do aka-

demii; słuchał różnych uczonych i nieuczonych, śledził walki religijne i filozoficzne swego czasu; oddawał się czarnoksięztwu, był deistą i panteistą, był sceptykiem i katolikiem, był wreszcie sławnym graczem, pojedynkarzem, awanturnikiem i poszukiwaczem przygód miłosnych, nie przestając być nigdy rycerzem.

Tak się mniej więcej przedstawia jego żywot aż do chwili, kiedy go święte oficyum uwięziło i skazało na śmierć przez spalenie. Głównym motywem jego uwięzienia był stosunek z pewnym upadłym aniołem imieniem Zakiel. Postać tego ducha nadała później romantyczno-legendowe tło opowieściom z życia Torralby.

Pan Cayetano de Alvear (w przedmowie do poematu Campoamora) — opowiada o nim niektóre luźne fakta, wzmiankując je o tyle tylko, o ile mają związek z poematem.

Uzyskawszy stopień licencyata, Torralba prowadził wielokrotne rozprawy z doktorami, w których okazał się sceptykiem i doszedł w końcu do pyrronizmu.

Śród jego przyjaciół był pewien dominikanin fray Pedro, który miał na usługach anioła, z rodzaju dobrych duchów, imieniem Zakiela.

Przez fray Pedra Torralba zawiązał stosunek z Zakielem, który odtąd czuwał nad licencyatem.

Gdy raz niejaki Silva de Salcedo namawiał Torralbę, aby razem pójść na zabawę za miasto, Zakiel Torralbę powstrzymał od tej wycieczki — i oto na drugi dzień doszła go wieść, że Salcedo został zamordowany.

Innym razem anioł przez Torralbę uprzedził kawalera Pedro Margano, że, gdyby Rzym opuścił, zostanie zabity. Margano nie usłuchał i zginął rzeczywiście.

W tym samym czasie przebywała w Rzymie dama hiszpańska La Rosales, *którą nawiedzała nocami zmora w postaci widma o trupim wyglądzie; zdaniem chorej był to duch jakiegoś zabitego; nie mógł sobie dać rady z tą zmorą czuwający nad łożem hiszpanki doktór Morales. — Kardynał de Santa Cruz wezwał Torralbę dla zbadania tej sprawy; Torralba zaś udał się o pomoc do swego demona.*

W r. 1519 Torralba z przyjacielem swym don Diego de Zuńiga jedzie do Hiszpanii — i w czasie tej wyprawy daje się poznać jako czarnoksiężnik i wróżbita. W Barcelonie zatrzymał się w domu kanonika Juana Garcia, który go wtajemniczał w chiromancyę i sztukę wygrywania w kości.

5 Maja t. r. uwiadomił Torralbę Zakiel, że miasto Rzym będzie zdobyte przez cesarza. Owóż Torralba pragnął widzieć te wy-

padki — i Zakiel na jego prośby uniósł go do Rzymu; w godzinę później byli przy ulicy Torre de Nona.

W półtorej godziny potem stanął w Valladolidzie z powrotem i opowiadał wszystko o konetablu Burbonie i uwięzieniu papieża w Sant Angelo. Gdy po niejakim czasie wieści te dosłownie się sprawdziły— uważany był powszechnie za czarownika, oddanego piekłu.

Ostatecznie don Diego de Zuñiga zadenuncyował swego przyjaciela przed świętem oficyum — i oto w r. 1528 Torralba wtrącony został do ciemnicy Inkwizycyi. Rozprawa i śledztwo trwały blizko trzy lata. Początkowo badano go tylko z powodu jego związku z Zakielem oraz z powodu czarnoksięztwa; później przypomniano dawne dysputy, a także pytano go, jak uważa Zakiel naukę Lutra i Erazma.

D. 6 Marca 1531 r. ogłoszono wyrok. Torralba zginął na stosie jako czarnoksiężnik, zaprzedany złemu duchowi, oraz jako heretyk i bezbożnik.

Z tych pojedyńczych, oderwanych kamyków stworzył Campoamor swój przedziwny poemat. — Znajdujemy tu wszystkie nazwiska, jakie utrwaliła legenda: La Rosales, fray Pedro, Juan Garcia, Silva de Salcedo, Pedro Margano, Diego de Zuñiga — wszystkie te postacie związał poeta i w nader umiejętny sposób otoczył niemi swego Torralbę, swego Fausta hiszpańskiego.

Ale jako prawy hiszpan, Faust - Torralba jest w znacznym stopniu Don Juanem, i, w istocie, głównym przedmiotem jego trosk, walk i całego weltschmerzu jest kobieta, La Rosales. Z niej to wywołał Campoamor wdzięczną niezmiernie postać Kataliny, wcielenie piękna, kłamstwa, zdrady i ambicyi niewieściej. Głównym zaś kierownikiem spraw Torralby, towarzyszem jego grzechów i majaczeń — jest ów bajeczny Zakiel, anioł upadły, któremu autor bardzo szeroką wyznacza rolę.

Uważny czytelnik zrozumie, że pod postacią Kataliny — nie tylko miłość i kobieta występuje; że autor usymbolizował w niej liczne trwogi i rozdwojenia duszy ludzkiej: ducha i ciało, ideał i materyę, złudzenie i rzeczywistość. Dosłownie jednak rzecz biorąc, Torralba — od początku do końca — żyje dla Kataliny i przez Katalinę: wierna czy zdradna, oddana aniołom czy piekłu, obecna czy nieobecna, żywa czy umarła, jako duch subtelny czy jako ciało bez ducha, (sztuczna muliercula) — zawsze jest ona w nim i przy nim. Dla niej poszedł do piekła i dla niej ginie umęczony.

Campoamor, jak widać z planu poematu, nie zamierzał wcale napisać rzeczy historycznej; owszem, z lekka jeno dotyka anegdot pojedyńczych i, użytkując nazwiska przez legendę pozostawione, cale in-

ne znaczenie im nadaje. Oddany swobodnie wyobraźni, roztoczył niezwykłe jej czarodziejstwo po całem swem dziele — i prawie ani jednego wiersza w poemacie niema, któryby nas nie uderzał jakąś wyjątkową myślą, zwrotem, obrazem. Ton poematu, swobodny i kapryśny, przeskakuje od powagi do humoru, od cynizmu do rozpaczy, od brutalnej rzeczywistości do niezgłębionej mistyki. Przy całej tej swobodzie, Campoamorem kieruje ścisła, jasna logika geniuszu łacińskiego. Chociaż czasami dzwoni nam w uchu jakby głos Heinego albo Fausta Goethego (zwłaszcza ton Mefista), — w gruncie jednak mamy tu humor Cervantesa, ale przegoryczony zwątpieniem i ciężarem licznych rozczarowań. Czasami przypomina się Wolter, czasami zda się nawet, że Arystofanes do nas przemawia: światy całe umie autor brać za motyw swego dowcipu.

Czytelnik sam oceni piękno i wytworność poematu, który staraliśmy się, ile można, najdokładniej oddać po polsku.

A. Lange.

PRZEDMOWA.

I.

Posłuszny radzie twojej, miły bra-
[cie,
O Torralbie ci śpiewać będę, li-
[cencyacie.
Czciciel starego Pirrona sofisty
I mąż biegły w medycynie —
Otchłanne zgłębiał on pustynie
Tej siły bezimiennej — treści by-
[tu czystej —
Która panuje nad tem, co mę-
[drzec nazywa
Imieniem materyi wieczystej,
Co wiecznie do tych źródeł wra-
[ca, zkąd wypływa.

II.

Uczył się wiele, dobrze. Lecz powoli oto
Poznał — na urąg mądrości człowieczej —
Że, gdy zwątpienie mózg mu napełnia ciemnotą,
Zbytek wiary w nim budzi obłęd nie do rzeczy.

Osłupiały scholastyki ciężarem,
Porzucił dla miłości teologię biedną,
A z fizyki — jak wszyscy — wiedział tylko jedno,
Że słońce — zbudowanym dobrze jest zegarem.

III.

Torralba miał — wzorem Sokrata —
Opiekuńczego ducha przyjaciela:
Nie człowieka, lecz raczej anioła z za świata,
Co, chociaż imię nosił Ezechiela,
Dla dźwięczności w Zakiela się zmienia.
Duch opiekuńczy, piękny, złotowłosy,
Leniwy był do drogi, co mu szła w niebiosy
W przyszłej godzinie winy oczyszczenia.
Gdyż był on z niebios na ziemię strącony —
Ale, wbrew wyroczni objawionej,
Ten anioł śmiało twierdził i ze śmiechem,
Że tylko wówczas lenistwo jest grzechem,
Gdy inny grzech z nim złączony.
I razem pragnął ten duch buntowniczy
Dać światu jasne dowody,
Że za nic sobie anioł-artysta raj liczy —
I raj porzuci dla twarzy dziewiczej,
Gdy ona warta więcej niż rajskie ogrody.

IV.

Umarła raz dzieweczka, zazdrosnych róż strapienie,
I o przedświcie, gdy miesiąca błyski
Zmieniają jeszcze rzeczy w widziadlane cienie, —
Aby ją unieść do Boga z kołyski

Czterej anieli
Z nieba spłynęli,
Ujrzeli ją, ucałowali —
I wnet chór anielski płynie
Z duszą dzieweczki ku niebios wyżynie,
Lecz z czterech niebian w górę tylko trzej wzlecieli.
Gdy zaszumiał ten skrzydeł szelest rozpostarty,
Którego żadne słowo nie opisze,
Dla jego niestworzonej cudowności, —
Gdy, wchodząc w krain niewidzialnych ciszę,
Rozpłynęły się niebiany
W błękitności powietrznej:
— Zakiel anioł czwarty,
Nadmiarem bezbolesnej znużony błogości,
Jakąś kobietę ujrzawszy w ogrodzie,
Przystanął zatopiony wzrokiem w jej urodzie —
I zapomniał nieba Elizeów — —
Gdyż anioł ten miał to do siebie,
Że umierał z smutku w niebie,
Dla braku rzeźb i muzeów!
To też, gdy zapragnął potem
Przez bramę rajską w niebo iść z powrotem,
Surowy rzecze mu głos, chociaż drogi:
— „Żeś nie gorliwie pełnił służbę oznaczoną,
Nie wejdziesz nigdy za niebieskie progi,
Lub wejdziesz z drugą duszą odkupioną.“
I odtąd Bóg Zakielowi
Pozwolił żyć swobodnie, do wyboru —
Na ziemi — czy też śród piekieł pustkowi,
Co wychodzi na jedno, choć różne z pozoru.
Już więc tu, już tam — bujał podług chęci:
Raz jako anioł w szatach czarnego koloru
I w płaszczu purpurowym; lub gdy go to nęci,
Dyabłem się staje; czarny kładzie płaszcz na bary

I czerwone szarawary,
I tak po ziemi lata.
A przygód zawsze będąc głodnym —
Towarzyszył bezbożnym i niewiarogodnym
Postępkom kawalera Torralby-licencyata,
Co w hazardownych grach tracił pieniądze,
A życie swe roztrwonił na miłostek żądze.

V.

Torralba, aż do wieku dojrzałego,
W miłości obyczajów był nieco pogańskich,
A wiedząc od osób bardzo chrześciańskich,
Że każdy patryarcha — był to Don Juan siwogłowy,
Często mawiał temi słowy:
— „Położywszy piękność na szali,
Bóg i czart o mą duszę grali,
I dyabeł wygrał ją na szczęście moje!“
A zatem, widząc, że na ziemi
Nauka daje tylko wieczne niepokoje, —
Z oczami wiecznie drwiącemi
I szyderskiem obliczem,
Śmiało chorągiew rozpościera,
Z której odwieczna dewiza wyziera,
Głoszona jeszcze przez Sardanapala:
— „Jedz — pij! Korzystaj z chwili! Niech się toczy fala—
Bo to jest wszystko, a reszta jest niczem!“

CZĘŚĆ PIERWSZA.
KOBIETA.

Pieśń pierwsza.
KOBIETA KOCHA ANIOŁA.

I.

Kiedy, od uprzykrzenia nieba wy-
[zwolony,
Zakiel na ziemi kochał jak sza-
[lony,
Choć — podług Owidyusza — kto
[za wiele kocha,
Ten jeszcze nie kocha ni trocha.
A wszystko szło mu nie trudno.
Więc dnia owego, co na krań-
[cach wschodu
Zabłysnął zorzą, tak jak nigdy
[cudną,
Kiedy w rozświcie porannego
[chłodu
Zakiel, z anielską trójcą służby
[bożej,
W lotach miał stanąć już nad horyzontem,
Spostrzegł inną dzieweczkę, rzekłbyś, siostrę zorzy,
W ogrodzie, który nieba zdawał się zakątem.
Co za kobieta! Toż kwiaty,
By uczcić cudne śniegi i szkarłaty

Tej kastylskiej krasawicy,
Złożyły w kwietniu u jej okiennicy
Wieńce wijących się róż i wonne granaty.
I widząc na tej cudnej twarzy
Źrenice, co jej oczy — rzekłbyś — pożerały;
I widząc, w blasku, co się na licu jej żarzy,
Że oczy jej krąg twarzy pożerają cały:
Z rozkoszą a niepewnym stąpał krokiem
Anioł — wobec tej wiosen czarodziejskich córy —
I tak się zachowywał, jak człek bylektóry,
Stojąc z otwartą gębą i otwartem okiem.

II.

Gdy Zakiel w myśli tak waży
Formę nieokreśloną
Tych lotnych brózd na jej twarzy,
Co w uśmiechu i gasną i płoną:
Oczy dziewicy dostrzegą —
Zlaną jakoby z blasku niebieskiego lśnieniem —
Postać człowieka, to jest, anioła bożego,
Co zeszła niby wiatr i z wiatru tchnieniem.
Ujrzawszy przed sobą młodzieńca,
Co zda się jako dusza w modłach nieustannych,
Katalina, w purpurze rumieńca
Świeższego od róż wiośnianych,
A której skronie, w girlandach rozwianych,
Lotna fala warkoczy okręca:
W tył przechyli złotem wieńczonego czoła
Na powitanie anioła,
Który stał przed nią, jasnowłosy i uroczy,
Okrągły i pyzaty, i bez brody zgoła.
A czując w wianiu wietrzyka,
Że ją anielskich skrzydeł szmer dotyka,

Wstydliwie zamknie oczy —
I tajemnicą siebie i myśl swą otoczy.

III.

O miłości rozmawia tych aniołów dwoje,
A tak ich mowa zda się promienistą,
Jak kiedy z prawdą przeczystą
Świat odbijają srebrnej wody zdroje.
Młodocianym zaś duszom owym towarzyszy
Sumienie, pełne ciszy,
Piękność, młodość i niewinność —
Trzy rzeczy dziwu godne i podziwiane! —
Podziwiać musisz, niby zjawienie świetlane,
Tę uczuć nieziemskich czynność
Dzieweczki i pacholęcia,
Co o tajnikach życia nie mają pojęcia
I, kochając, jak ludzie kochać nie zdołają,
Miłością, której ziemi nie potrzeba,
Są jak dzieci, co ledwie rąk swych dotykają,
Są jak kwiaty, spadłe z nieba. —

IV.

I cóż te drogie istoty,
Które związał miłości czystej promień złoty?
Jeszcze się im po przez zmysły
Nie ujawniała dusza na ten byt zewnętrzny —
I zdał się spokój ich radości wdzięcznej
Jak uśmiech dwóch aniołów, co we śnie zawisły.
Ci, co ich uśmiech widzieli,
A dźwięku słów nie słyszeli,
Nie słysząc odgadywali,
Jakie wiedli rozmowy ci duchowie biali.

A widząc tak niezajęte
Wargi — świeższe niżeli róże rozwinięte —
Łatwo pojmiesz, że Zakiel razem z Kataliną
W boskiej niewiadomości rzeczy sercem płyną.
I tak czysta — pieszczota nasyca
Dusze ich, wszelkiej myśli pozbawione nizkiej,
Bowiem, kochając, anioł i dziewica
Są jako dzieci, igrające śród kołyski.

V.

W zmysłach, gdzie miłość w pożar się rozwija,
Trwa to, co ziemskie; mija to, co wieczne.
Lecz w duszy, gdzie zagoszczą uczuć skry słoneczne,
Trwa to, co wieczne; co ziemskie, przemija.
Nad rozkosz — duszę czystą, półdziecięcą
Bardziej niewinność oraz piękność nęcą;
I dla tego miłości ekstaza i chwała
W życiu zapomina ciała.
To też, śród ciszy niewypowiedzianej,
Miłość swą powiadają sobie te niebiany
Słowy oderwanemi, czystemi, zimnemi —
I wierzą, że kochanek jest anioła wzorem,
Który codziennie spływa niebios torem
Z modlitwą bożą ku ziemi.

VI.

Ale że niemasz miłości na świecie,
Której starczy powietrze i pachnące kwiecie,
Nadszedł — któżby to wróżył? —
Moment ponury
Godziny, w której
Miłości świętej zapach serce znużył.

I gdy raz kochanek i kochanka,
Śród zapomnienia, co im gore w łonie,
Stali w oknie, w promieniach innego poranka,
Podobni kwiatom na gazonie, —
Torralba z uśmiechem złej wieści
Spogląda na tę pracę bożą
Duszy, co drugą duszę pieści:
Widząc zaś, jak anioł Katalinę
Oblewa spojrzenia zorzą,
Przeczuwa już swą godzinę.
Licencyat, pewny siebie, wielce umiejętny,
Rozumiał to, że Zakiel, do dziecka podobny,
Chociaż dla oka nadobny,
Musiał każdej kobiecie być po czasie wstrętny.
Więc porwawszy jak za łeb swojego demona,
Torralba, ten katolik-poganin, co święte
Kochał, gdy miały ciała pięknie rozwinięte
I foremne łona, —
Przez spojrzenia swe zachłanne
Pragnie Zakiela spędzić jak prostaka,
I spoglądając zuchwale
Na piękną pannę,
Chce, by zapadła w niepamięci fale
Tych dwojga niewiniątek miłość zbyt nijaka.

VII.

Gdy więc on rzuca na nią spojrzenie ogniowe
Z jakąś szczególną namiętnością w oku,
Ona w rumieńcach wraz odwróci głowę:
Ach, naturalny wstyd w piętnastym roku!
Lecz czując wnet nieuchwytne
Miłosnych obłędów drżenie:

Dotąd zimne i błękitne,
Oczy jej zwolna rzucają płomienie.
I bez wątpienia nadeszła ta chwila,
Że, choć Zakiela jeszcze kocha,
Na widok spojrzeń Torralby już trocha
W stronę się innej fortuny przechyla.
I choć w nieświadomości, złudzona pozorem,
Sądzi myśli swych kryształem,
Że świat ten jest klasztorem,
A miłość znów panieństwem doskonałem:
Przecież marzeniem swojem upojona,
Pośród człowieka stojąc i anioła,
Już waha się strwożona:
Bowiem, nędzna materyo! gdy miłości lenne
Ciało i dusza walki toczą zmienne,
Dusza mówi: precz! a ciało: dalej! woła. —

VIII.

I poszła dalej. Właśnie kiedy odwracała głowę,
Było w niej coś, jakbyś miał przed sobą królowę —
I rzuci Zakielowi spojrzenie surowe.
I w dzień ów zamarł, zimnym lodem ścięty,
Kwiat miłości anioła i świętej.

IX.

Rzecz naturalna. I niejeden — wierzę —
Słusznie będzie tego zdania,
Że kobieta ze smakiem — mając do wybrania
Anioła czy człowieka — człowieka wybierze. —

Pieśń druga.
KOBIETA PORZUCA ANIOŁA DLA CZŁOWIEKA:

I.

Nawet Herkules uczuć nie
[przeważy —
I próżna to czasu strata,
Że o spokoju się marzy,
Gdy serce ranne miło-
[ścią kołata
I jak chleb rośnie od
[drożdży fermentu. —
Od fatalnego momentu,
Gdy Torralbę ujrzała piękna Katalina:
Pierwszy raz gorzeć dusza jej zaczyna
Ogniem płomiennego zamętu.
Torralba był z tych ludzi z zuchwałym polotem,
Co, gdy im nie dać czego, sami sobie biorą,
Którzy, żon cudzych nazwodziwszy sporo,
Mężom je dla uciechy oddają z powrotem.
Człowiek ten bez czci, duch z głazu,
Z księżego seminaryum wyszedł bezbożnikiem.

Wyprowadziwszy zepsuta ta dusza,
Że sumienie to widmo czyste i katusza,
Konsekwentnie je rzucił w otchłań mórz odmętu,
By zmniejszyć sobie ciężar żywota okrętu.
Głodny fortuny na drogach istnienia,
Nic nie bacząc na środki, zacne czyli zdradne,
Wciąż swe pojęcia moralne odmienia,
Zasię, że jedna prawda ludźmi włada,
Jak każdy, co religie bada,
Na końcu drogi ocknął się bez żadnej.

II.

A Zakiel — któż wie? W sposób tajemniczy
Uszedł do piekieł, pożarła go rzeka;
Nie chciał on sprawić dziewczynie goryczy,
Gdyż nikt nie wie, jak bezdenny
Jest owy ból bezimienny,
Co nawet najczyściejszej kobiecie dopieka,
Gdy spotyka anioła — szukając człowieka.

III.

Torralba był doktorem w faktach wiedzy ścisłej,
Lecz też poetów czytając utwory,
Nieraz hultaj pił likwory
Snów nieśmiertelnych i wieszcze zamysły.
Gdyż namiętność w przedmiocie swego uwielbienia
Nigdy istnej pobudki swych czuć nie uchwyci —
Rojąc, że słyszy śród błyskawic drżenia
Rytm falującej kibici.
Odkąd się więc Torralba pogrążać zaczyna
W niebiańskiem żądzy męczeństwie,
Objawia mu się piękna Katalina

Wpierw bez szaleństwa — w czystości, jak kwiecie,
Potem zaś bez czystości, a w czystem szaleństwie.
Dobrzem rzekł — bez czystości. Bo w miłości świecie,
Nikt z grubych uciech nie ustąpi,
Gdyż człowiek jest pół dyabłem, a niejeden przecie
Całego dyabła zastąpi.

IV.

Torralba młody był i kochał życia soki,
Pragnął więc bez odwłoki
Śpiesznie przejść drogę, kędy rozkosz się wysysa, —
I jak od Abelarda niegdyś Heloisa
Metafizyki poznała doktryny,
Tak był Torralba mistrzem Kataliny.
Uczył ją więc (chytra zasada), —
Że miłość w samem niebie jest nieba stolicą —
A wierna tej nauce może stać się wprędce
Wielką grzesznicą,
Która za wabia cnotę ma na wędce. —
Mędrzec dziewczynie wykłada,
Że doświadczenie wszystkiego nas uczy:
I że teorya nigdy nie wybada
Niewidzialnych, zjawiska plątających kluczy.
Ona już wie, że kochać — to igrać z płomieniem,
A śledząc filozofii treść z zaciekawieniem,
Poznała tylko — jak świeckie osoby —
Że wzniosły grek Pitagor lubił wielce boby.
Chociaż duszę Torralby sceptycyzm zalewa,
Jeżeli mam rzec prawdę bez żadnej ozdoby,
Wątpił o swem zwątpieniu — a powiadam szczerze:
Niżli wierzący, ten mocniejszy w wierze,
Kto o swych zwątpień prawdzie powątpiewa.

To też licencyat, ucząc swą dziewczynę,
Zwolna ją wtajemniczał w doktrynę
Szkoły miłosnej z Ewinej epoki,
Gdyż dla Torralby pewnik to głęboki,
Że lepiej widzą ręce niźli oczy —
I wierzył, tak jak Koran oraz giaurów krocie,
Że nie jest bardziej żaden raj uroczy
Nad Mahometa raje.
A więc już, nauczona przez niego, wyznaje,
Że życie — jest to miłość w wiecznym kołowrocie,
I choć jeszcze się kryje, już ci śmielej gorze,
Niźli panienka chowana w klasztorze. —
Ja, co uwielbiam dusz niewieścich kwiecie,
Wiem, jak są ich objawy powikłaną rzeczą,
Gdyż osiem kobiet jest w każdej kobiecie,
A śród nich jedne cztery drugim czterem przeczą.
Bez niewinności miłość złą jest sprawą,
Lecz doświadczenie wierzyć inaczej nas zmusza —
I człowiek wielkim jest niemrawą,
Gdy tej prawdy nie odkrywa,
Że w życiu wszystko porywa
Owa tajemna siła Lukrecyusza,
Którą Bossuet Opatrznością nazywa.

V.

Zmieniła Katalina miłość swą nietrwałą —
I również płci jej cechy się zmieniają
Od dnia potopu, gdy Moncayo
Podwodną jeszcze była skałą.
I wciąż zmieniać się będą, przez wieków kolisko,
Póki bezbrzeżne oceanu fale,
Równając doliny i hale,

Gdy czas popłynie w jutra nieskończone dale,
Znów nie zmienią Kastylii na morskie łożysko.

VI.

Ciężar to wielki dla naszej czystości,
Kiedy miłość w niej zagości.
Rzekłbyś — dusza wyszła z ciała,
Do głowy bije pożarem krew cała!
Pani, pod której władzą stoi ludzka trzoda,
Przeważając ciała nędzę,
Każe nam spełniać swoich obowiązków przędzę:
Racyonalna zawsze przyroda. —
Dla Kataliny błagam łaski bożej,
Gdyż dziś zobaczymy w zorzy
Snu, co dziewczynę trwoży,
Jak to dusza nasza płonie
Ku brutalnej pragnień stronie.
Gdy więc mężczyznę zoczy,
Ku równikowi z bieguna poskoczy
Myśl dziewczyny czystej,
I naturalnie wnet ją stoczy
Płomień miłości ognistej. —

VII.

Chociaż tak skromna,
Od pragnień nieprzytomna —
Sięgając w rzeczy głąb' za ich osnową —
Do tej mądrości dochodzi stopniowo,
Że zna jedynie chwałę doczesną, zmysłową.
I — jako każda dusza gorejąca —

Słucha dziewczyna
Prawa, o którem Cycero wspomina,
Że ogarnia czasy i słońca.
Ach, Katalina zawini,
Lecz czyliż nie to
Cyterejska matka czyni,
Która, jako bogini,
Jest śród kobiet kobietą, najbardziej kobietą.
Jedyna, wieczna pani, tyś królowa-żądza,
Co wszystkiem rządzi oraz wszystko roznierządza,
Ty na ziemi i w niebie — w jednakim wciąż wzorze —
Budzisz niepowstrzymany pęd rozkoszy wiecznej,
Odkądeś pogrążyła w olbrzymiem jeziorze
Płodnego pyłu — cały ten świat podsłoneczny
W dniu, gdy jak powódź obfita —
Przecięła szlak drogi mlecznej
Mlekiem swej piersi boska Afrodyta.

VIII.

Zakiel, raz porzuciwszy piekielne otchłanie,
Wypłynął na szczyt pewnej góry,
I opuściwszy wierzchołek ów, który
Nosił na sobie śniegi z pierwszych dni natury,
Zstąpił — i oko w oko przed Torralbą stanie,
Wyprostowany, na granitnej skale.
I śmiał się urągliwie, ponuro, zuchwale,
Usta na wyraz pogardy złożywszy.
Przeodziany za biesa, miał już przekonanie,
Że w miłości rabować — to kodeks najżywszy.
I skrzyżował ręce na łonie —
Klnę się! woła, zemstą płonie.
Ujrzawszy zaś, że dyabeł jest w niej zakochany,
Zmienna dziewczyna —

W której już nieco zczerniał pierwszy duch świetlany —
Nowe roić sny zaczyna.
I raz jej taki sen przyniosły nocy cienie,
Co życiu jej całemu nakazał milczenie.
Owa zła wyznawczyni Chrystusa
Już czuje, jak ją nęci ta pokusa,
Że w krótkim życia ludzkiego oddechu
Podwójną jest rozkoszą upojenie w grzechu.
I bez pamięci porwana
Miłości żarem i szałem,
Przez dyabła znów oczarowana,
Ten dylemat wyznawa swoim ideałem:
Nic lub wszystko! Zasada bohaterom znana. —
Czy to możliwe, Boże? Znów odmiana?
Więc — na urąg swojej chwale —
Za kochanka przyjęłaby nawet szatana?
Jeśli tak — spójrz w bezdenne zmarłych wieków dale!
Śród dziejowych podłości na karcie żałobnej,
Zaiste, okropności nie znajdziesz podobnej!
Przecież ta rzecz okropna jest możliwą rzeczą —
I ci, co miłej płci złorzeczą,
Nieraz przypomną, jak w słowie zawziętem
Woła wielki poganin, zwany Pawłem Świętym:
Że kobieta jest Boga albo czarta zgoła —
Nigdy zaś nie jest człowieka — i nigdy nie jest anioła.

Pieśń trzecia.

KOBIETA PORZUCA CZŁOWIEKA DLA DYABŁA.

I.

Z ciałem naszem
[złączone—żyje w nas
[gorące
Pragnienie żądz
[burzliwych:
A jako życiem
[wszechrzeczy jest
[słońce,
Miłość jest duszą życia
[istot żywych.

II.

Zakiel w przygodzie swojej — wyuczony
Przez samego ojca mroku —
Zeszedł z wierzchołka góry uśnieżonej,
Co jedno zimę zna z wszystkich pór roku. —
Przemienionemu w biesa już się niepojęta
Zdaje ta sprawa,

Że na ołtarzu święty oraz święta
W niepokalanej miłości zostawa.

III.

Gdy więc Zakiela w kształcie bóstwa grzechu
Ujrzała Katalina,
Na widok gorzkiego uśmiechu
Śród tej anioła upadłego twarzy,
Już w niej pokusa boska grać zaczyna
Rozkoszy, jaką owoc zakazany darzy.
I cała już miłości oddana zaciekle,
Świadczy — rzekłbyś — oślepiona,
Że czartowi upadłszy w ramiona
Znajdzie niebo nawet w piekle. —
I widzi — w szybko rosnącym bezwstydzie,
Że podwaja swą rozkosz, kiedy się oddala
Od Zakiela — i właśnie za Torralbą idzie;
Gdy zaś porzuca człowieka,
I serce swoje dla czarta rozpala,
Potraja się w niej życia samowiedna fala.
I choć was zadziwienie czeka,
Powiem wam, że dziewica tutaj opiewana,
Porzuciwszy anioła niegdyś dla człowieka,
Wkrótce człowieka rzuci dla szatana. —

IV.

Jednego dnia, w one miesiące,
Gdy gorcją piasków łoża
I gdy afrykańskie słońce
Płomieniem oblewa zboża:

Duch jej, powstrzymywany
W zaciszy ukochanej
Miłości swojej czystej,
Jak Cezar wreszcie w stanowczej godzinie
Rubikon wstydu przepłynie. —
Zakiel — wniosek oczywisty —
Przysiągł to sobie — i sposobów szuka —
Że po powrocie z piekielnej bezdeni
Katalinę w zupełną kobietę przemieni.
Bo matka jej to córa, ona zaś to wnuka
Andaluzyi, tej ziemi, co się wciąż płomieni,
Co nawet — zimą uśnieżona —
Niepokoi ukryte w jej głębi nasiona.
A przytem pewnik to niezaprzeczony,
Że ślepy bieg rzeczy nęci,
Naprzód w otchłań miłości, potem niepamięci,
Duchy, co dumnie kroczą, niby święci,
Pod ciałem z gliny licho wypalonej.
I niemasz twierdzy ni tarczy,
Co na ochronę czystości wystarczy —
Duszy, co w głębiach na poły już leży,
Silniejszy bowiem popęd przyrodzony
Od wszystkich świata żołnierzy.

V.

Miłość bez ładu jest to grzechu sidło —
Lecz ileż razy, cierpieniem złamane,
Ono niebo, co kładzie wędzidło
Na stworzenie wszystko rozkiełzane, —
Ku dobru wiedzie nas, gdy rozwiązuje
Nieporządek, który porządkuje
Wszystko to, co tak źle jest uporządkowane! —

VI.

Katalina już kocha wzburzona —
I powoli z jej czoła
Opada biała zasłona
Niewinności anioła,
I ducha jej opęta
Ekwatoryalna strefa, płomieniem objęta.
Jak wiele pań, które-m kochał — dziewczyna to szczera
I zacna — i miłować chce sercem wzruszonem
Zacnego również kawalera,
Coby przecież mniej był aniołem, a więcej demonem!
Chcąc ją nauczyć drogą doświadczenia,
Że miłość naturalna — jest mądrości końcem,
Czart, opętawszy ją mocą swych sideł,
Budzi w niej miłość bez anielskich skrzydeł —
I dziewczę wierzy, że bez prawdy cienia
Jest ta namiętność, która nie burzy sumienia.
Zgubiona, która się dotyka
Rzeczywistości; bo w ciele płonącem
Idealizmu ślad znika —
I najprościejsza forma miłosnego aktu
Sprowadza się do życia koniecznego faktu.
Lineusz oraz inni uczeni autorzy
Sądzą, że płodne nasienie
Nawet i w kwiatach budzi miłosne płomienie,
Świadcząc, że miłości tchnienie
Zmienia w zamtuz olbrzymi cały ten świat boży.

VII.

Nigdy słaba nasza dusza
Piękności oprzeć się nie zdoła,

Gdy namiętności przeceniać nas zmusza
Wielki duch przyrody koła:
Starożytny Pan ateusza.
I choć po prawdzie są szaleni —
Mężczyźni i kobiety,
Czcząc swoje własne wewnętrzne podniety,
Rodzaj widziadeł i cieni,
W miłosnych walkach — kto rzecz dobrze zważy —
Rzeczywistość jest sprawy istotą,
A ideał jest kłamstwem bez twarzy. —
Co z błota wstało — wraca w błoto,
A Palmira upadnie w nędzny proch cmentarzy.

VIII.

Niktby pewnie żałoby,
Jaką niesie to życie potworne,
Nie przeżył jednej doby,
Gdyby pomyślał w spokoju,
W jakim wstręcie i znoju
Dusza trwa, kiedy ciału płacić ma komorne!
Patrzcie, jak człowieka w proch wali
Strasznych złudzeń majestat ciemny,
Gdy w końcu zawsze na szali
Dusza nasza mniej waży od gliny nikczemnej!
Świadczcie wy, dobrzy ludzie, coście to widzieli,
Że w tym biegu ludzkiego żywota,
Jeżeli ciało jest najgorszym z przyjacieli,
Duch — to najsroższy despota.
Kiedyż, myślicie, ustaną te waśnie,
Uwiecznione wiarą miłości?
Kiedy umrze ta ziemia, kiedy słońce zgaśnie,
A gwiazdy wrócą do nicości!

IX.

W końcu, kiedy nastanie
Dzień, gorejący
W zachodnich wiatrów orkanie,
Co niesie pył z Sewilli aż na brzeg norweski,—
Naśladując miłości obraz czarujący
Paola i Franczeski —
Płomienne zaślubiny
Z dyabłem Kataliny —
Był to w piekle dramat niebieski!
Kiedy z czystości nieskalanej granic
Jedna dusza pada w brudu siecie —
I cóż się stało? Ach prawie nic a nic —
Jeden żal więcej — jedna niewinność mniej w świecie!

X.

Ponieważ dusza nasza jest w niewoli
Rzeczywistości, co ją zniepràwia powoli:
Więc najwstydliwsza i najczystsza miłość
Jest krynicą, co tryska z Edenowej roli,
Lecz która zwolna w piekieł stacza się pochyłość.
O Katalino droga,
Zanimby moja dusza skamieniała
Za zbrodnię czułość twą ci poczytała:
Niechajby przedtem życie moje, z woli Boga,
Wieczysta noc opanowała!
Jeśli potępisz, litościwy Panie,
Miłości biednych Katalin,
W co ten świat się przemieni? Ach, w próżne otchłanie,
W rozwalinę na rozwalinie rozwalin,
W znudzonych dusz ukrzyżowanie!

Pieśń czwarta.

KOBIETA PORZUCA DYABŁA DLA SŁAWY.



I.

Szczęśliwsi, w Rzymie, niż
[pomiędzy swemi —
Jeśli poza Hiszpanią szczęście
[jest na ziemi —
Katalina i Zakiel, niby
[małżonkowie,
Przepływali bez wahania
Pole uciech, gdzie władną
[ziemskie pożądania,
Jako książęta z koroną na
[głowie. —

II.

Lecz, jak wiadomo, miłość nasycona
Jest to miłość utracona.
Stanąwszy zatem na miłości kresie,
Spotrzega panna, że twór, co ją pieści,

To dyabeł o formie niewieściej —
I niezbyt słusznie widząc tylko nikłość w biesie,
Ma dlań jedynie pogardy oznaki.
Zasię poznawszy śród ziemskiego ludu,
Że tyle złym, co dyabeł, jest człek bylejaki, —
Oto wreszcie nie bez trudu
Postawiła wniosek taki:
Że człowiek — jest to bies lepszej odmiany,
A dyabeł — człowiek nieudany.

III.

Że Katalina miała piękne lice,
Więc ją rywalki jej, rzymskie dziewice,
Przezwały Różą lub Rosą —
Potem jeszcze przydomek Rosales jej niosą.
A ponieważ zaćmiewała
Najpiękniejszych dziewic grono,
Jej piękność wywoływała
W chłopcach żądzę, w dziewczętach zaś zazdrość zieloną.
Nikt nie znał trosk Kataliny,
A ponieważ i doktór Morales
Zawsze stał przy niej i był dobrej miny, —
Mówili wszyscy na widok doktora,
Że Katalina — lub Róża — lub Rosales
Udawała albo też zawsze była chora.
Tak gawiedź, złośliwa jak hyena,
Nie wie, jaka to nowa Magdalena
Kryje się w Róży — i że, choć nie święta,
Jest to kobieta dobra, co upada,
A potem się spowiada,
I wstaje znowu, grzechu porzuciwszy pęta.

IV.

Ślepi miłością i żądzą zuchwali
O jej dłoń się ubiegali
Don Silva de Salcedo i Pedro Margano.
Równie jest im ukochaną,
A więc z jednaką zasadą
Osaczyli Katalinę
Tą wiekuistą blokadą,
Co każdą piękną osacza dziewczynę.
Choć obaj dla niej żywili afekt serdeczny,
Grzeczny Margano, Salcedo waleczny,
Róża — póki nie ujrzy ich w sławie u świata —
Patrzała na nich taka lodowata,
Jak bogowie z drogi mlecznej.
W stolicy ducha cała się rozwiewa,
Próżność ogarnia ją nauk uprawy:
Jak niegdyś duch jej ciekawy —
Słysząc, co zrobiła Ewa,
Pragnie też ujrzeć węża pośród wiedzy drzewa.
Być może doświadczeniem zmęczona, być może,
Gdy przesyciło ją rozkoszy łoże,
Chce teraz z nauk wyżyny
Poznać wszechrzeczy i treść i przyczyny.
Dość ma miłości — i zawzięcie szuka
Rozkoszy, jaką daje sztuka!.,.
Albowiem zawsze dziewczyny,
By nie spać same, już od lat dziecinnych
W łoże się kładą z duchami — marzeń coraz innych!

V.

Opieką naprzód otoczona
Kardynała biskupa Volterry:

Róża, w nauce kształcona,
W Rzymie pojęła istność ziemskiej atmosfery.
Przeto — rozkoszą znużona —
W mózgu swe uczucia mieści,
I tak jak wiele kobiet — w głębi swego łona
Talentów żądzę osobliwą pieści.
I oto, nauk mistrzyni,
Z miłością studya czyni
Nad sztuką gocką i bizantyńską,
Nad mową grecką i łacińską,
I — choć niejeden zwątpieniem to przyjmie —
Fray Pedro w astrologii wdrożył ją tajniki,
I poznała, przebywszy ledwie miesiąc w Rzymie,
Że przypływy mórz — to księżyca wyniki.
Katalina upadła. Lecz nie znam imienia,
By określić ten dziwny obłęd, do kaduka!
Kocha anioła, wnet go na człowieka zmienia,
Potem dyabeł ją nęci, a w końcu nauka.
I sądzę (klnę się, jam szczery),
Że — gdy rozważyć te obłędy cztery—
Miłość wiedzy to obłęd najbardziej czartowski,
I wielu znam, co chętnieby pod miecz katowski
Posłali Kadma za to, że wynalazł głoski. —
Wreszcie wiedziała o tem,
Że przez naukę pastuch dosięga tyary:
Gdy więc z miłością złączą się jej czary,
Kiedyś jakiś mąż z polotem
Owładnie ziemi wszystkiemi obszary.
Tak, pychą opętana, gdy ręki użycza
Jednemu czy drugiemu ze swych zalotników,
W myśli swe ich wtajemnicza,
Że — w razie wątpliwych wyników —
Temu, co wyższej zyszcze wawrzyn chwały,
Odda na wieki skarb uczuć swych cały!

VI.

W obu młodzieńcach żądza sławy promienieje.
Jeden więc z nich malarstwo i poezyę śledzi,
Drugi po uszy w teologii siedzi,
Bada moralność i narodów dzieje.
Malarstwu oddał się Margano,
A że we wszystkich formach widział swą kochaną,
Rysował ciągle Katalinę;
Zaś ukochawszy nagość bez osłony,
Malował wciąż natchniony
Epidermę kobiecą,
Tę promieni i żądz mięszaninę;
A wreszcie, choć go chwalą ludzie nieco,
Jako jednego z poetów,
Któremu niegdyś szumiały
Nad Euroty brzegiem hejnały
Wychodzące z oczeretów:
To przecież w końcu znienawidził rymy,
Żądał wiedzy — sztuki zapomniał w obłędzie,
Poznawszy, że zawsze i wszędzie
Ogień pali, a mrożą śnieżne tchnienia zimy.

VII.

Silva się w pilne czytanie zanurzy —
I z dziejów ludzkich księgi krwawej
Wyrozumiał, że pomniki sławy
To na pół klęski a na pół szaleństwa.
I poznał z wielkim żalem Róży,
Że sława na nic nie służy,
I że historya cała człowieczeństwa
To nieśmiertelnych galera.

Co wiedział z moralności, wnet mu w pamięci zamiera,
Że niebo lubi porządek,
A piekło nieporządek,
A ziemia nieporządek uporządkowany.
A gdy z zapałem w arkany
Teologii — duszę wciska,
Pojął, jak traci niebo człowiek niewybrany,
Ale nie odkrył nigdy, jak się niebo zyska.

VIII.

Ostatecznie, przecierpiawszy wiele,
Gdy tak wiosłują łodzią swojej sławy,
Pojęli wreszcie, jak błahe jej cele,
I że, niż człowiek żyjący śród wrzawy,
Ten jest szczęśliwszy, który kocha drogi,
Prowadzące do ciszy zapomnienia błogiej.
A ponieważ z ksiąg poznali,
Że lepszy niebyt niżeli istnienie,
Gdy utracili swe drogie złudzenie
I gdy się o tem przekonali,
Że żaden z nich obydwu nie jest tym człowiekiem,
Co władać będzie duchów jutra wiekiem,
Budząc imieniem swojem wielkie serca drżenie, —
Gdy przecie żar miłości bez zmiany ich rani:
— Zgodzili się, że trzeba iść w mrok śmierci ciemny,
Bo kiedy kocha kto z synów Hiszpanii
I gdy ma umrzeć dla swej pani,
To sam Cyd jak zabójca zda mu się najemny!
I gdy słońce zachodzi mgławą krwi posoką,
Tak, jako w szklance światło się promieni,
Pod wieczór się znaleźli oko w oko,
Koło mostu, u brzegu Tybrowych strumieni.

I obaj z furyą szaloną
Rzucili się jak prostacy;
Nienawiścią ku sobie płoną,
Choć przyjaciele i rodacy. —
A walczyli bez świadków, na ostre szablice,
Jak czynić zwykli hiszpańscy szlachcice. —
Obaj, męże bez trwogi, w miłości rywale,
Czemuż mają osłabnąć w swych ogni zapale?
Salceda i Morgana bowiem w walce wspiera
Gwiazda miłości, co zabija lub umiera.
Baczność! wołają obaj. Kto padnie, kto żywy
Zostać ma — nie wiem. Rzecz ta rozstrzyga się losem.
Może ten, co jest silny; może, kto szczęśliwy.
Toć każda szpada jest z wosku przed ciosem.
Gdy oba miecze wichrem zawirują w dłoni,
Aż widać puls i słychać tętna w skroni,
Silvę żądza popycha dzika —
I uderza w pierś przeciwnika.
Lecz kiedy miłość rzuca krew do głowy
W ludziach szlachetnych:
Ci wspominają ze sztuki krzyżowej
Siłę uderzeń sekretnych.
Zatem waleczny Margano,
Jedną dłoń położywszy nad raną,
Drugą ręką w ruch puszcza swą szpadę
I w Salceda uderzy w jednem mgnieniu zyza —
I między brew a brew zadał mu tę estokadę,
Którą nazwano później uderzeniem Guise'a. —

IX.

W końcu, gdy padli dwaj hiszpanie,
Zjawia się Róża niespodzianie

I, z dwóch stron biorąc ich za ręce,
Patrzy jak cierpią dwaj młodzieńce,
I zalewała ich oczy —
Nie puklami już — falą gęstą swych warkoczy...
Dokoła tchnienia wietrzyków
Rozwiewały włosów jej deszcze,
I ciała obu przeciwników
Przenikały żywe dreszcze.
Na widok tej pięknej kobiety u boku,
Rosła jeszcze ich rozpacz szalona,
Gdy zwłaszcza falowały im w oku
Drżące kontury jej łona. —

X.

A Torralba? Zrodzony w Cuence,
Licencyat nasz ku górze tu w Romie się wspina,
Zdobywając chwały wieńce:
Tak przeczy gadce, co głosi,
Że człowiek, jako roślina,
Traci siłę, gdy z miejsca w miejsce się przenosi.
Przez Zakiela powiadomiony
O pojedynku rywali,
Już zapomniał dawnych żali.
Biegnie do Róży, gotów do obrony,
I kroku przyśpiesza sowicie,
Bo w miłości przedmiotu los ukochanego
Jest ważniejszy nad honor i życie.
Przybył Torralba. Z nim razem Don Diego
De Zuñiga, druh jego, człowiek, co na wszystko
Spogląda z góry, jakby na urągowisko —
Jak pewien łotr, którego pamięć mi przeklętą!
Ranni, widząc z oddali koniuszczkiem źrenicy,

Że zbliża się Torralba ze szpadą wyjętą,
Spojrzenie rzucą mu na zwiady —
Szybsze i płomienistsze od skier błyskawicy!
Widząc już, że Torralba Katalinę
Porwie wnet, jak Pluton Prozerpinę,
Gdy, umierając, nie byli już w stanie
Poruszyć szpady,
Wyjmą sztylety —
I oto ci dwaj hiszpanie
Popełnili crimen *zdrady*
Zasztyletowaniem kobiety.
Chwała miłości! W tym nawet sposobie
Piękniejszą im się wydała;
Bo, gdy miłością duch pała,
Upiększa wszystko, nawet trupa w grobie.
Gdy ujrzą, że na wieczność już skazana mroku, —
Pod naciskiem miłości, co im serce pali,
Każdy ze swojego boku
Zbliża się, umierając, ku drogiej osobie, —
I obaj ją ostatni raz ucałowali.

XI.

Gdy śmierć swej dawnej kochanki zobaczy,
Licencyat zaryczy wściekle,
Jako ryczą dyabły w piekle,
I od tej chwili rozpaczy
Na twarzy jego została
Osłupienia bladość wieczno-trwała.

XII.

I w tym zamęcie zamętu,
Gdy — pomieszane z Tybrowemi szmery —

Westchnienia, klątwy, echa jęków i lamentu
Rozpłynęły się w nicości etery, —
Wybiegła oczyszczona dusza Kataliny
Z czarodziejskiego jej ciała
I poleciała,
Dawnej miłości swej śladem,
Ku Torralbie, co pierwszy śród mężczyzn rodziny
Uczcił jej piękności dyadem.
I osnuty wędrownym obłokiem
Duszy niewiernej niegdyś swej dziewicy —
Ku najpuściejszej Tybru uchodzi granicy
Torralba, za nieznanym goniąc znów urokiem.
A miesiąc światłem niepewnem i bladem
Na troje zmarłych rzuca blask żałobny,
Sam trupiej głowie podobny.

PRZEŁOŻYŁ
Antoni Lange. Ramon de Campoamor.

Próchno.

Borowski skończył opowiadanie. Powstał z ławki cmentarnej i z głową zwieszoną, od wspomnień ciężką, począł się błąkać między mogiłami. Kunicki nie widział go, nie myślał o nim prawie: człowiek znikł, rozwiał mu się z przed oczu. Miał niemal wrażenie, że oto z jednej z tych mogił powstał trup, dzieje mu swoje opowiedział i wraz z ostatniem wspomnieniem, ostatnie wydawszy tchnienie, zapaść się musiał w mogiłę.

I, myśląc tak, patrzał w kraj pusty i dymny: w długie, smutne szeregi budowli za cmentarzem, w ostre zarysy kominów fabrycznych, wyrastających z za garbów ziemi, jak nagie maszty. Nie było tu zieleni naokół, lecz ostra czerwień murów; zamiast murawy pył węglowy pokrył czarnym puchem faliste ugory. Ludzie tu jakby wymarli, ptak się nie odezwał, wrona nie zakrakała. Maszyny tylko gadały świstkami i suche dzwony zgrzytały. Niemilknący kołat młotów mierzył rozpaczliwie nud-

ny czas, pełzający tak leniwie, jak te rozwłóczone na horyzoncie dymy.

Kunicki spojrzał na Borowskiego i wydało mu się, że w te martwe okolice spadł jakiś ptak z dalekich krajów, trzepocze choremi skrzydłami i dusi się od węglowego pyłu. Nie pytał go, jak teraz żyje. Wszak wiedział dobrze? Znał to życie wielkomiejskie i zaprzepaszczone w niem egzystencye, wegetujące wspomnieniem minionych dni, czepiające się kobiet ostatniem pragnieniem życia.

Długie, smutne kominy patrzały martwo w dal pustą i niemą. Zastygłe i zimne w szarem świetle, kłębiły ciężkie ofiarne dymy żywych i kołaczących maszyn, oraz martwych i niemych ludzi. Dusza tych istot ludzkich, wyklęta precz od pracy, błąkała się pokutna po ciemnych zaułkach i czarnych norach nocy. I wtedy dopiero, gdy maszyny do snu legły, wówczas gdzieś w pomrokach kamiennych, w ciszy umęczonych ciał rozlegał się czasami nagły, straszny, beznadziejny krzyk — budziła się namiętność, buchał płomień duszy.

I gasł.

Pozostawał jeden, dwa trupy i otwierała się nagle przepaść bólu i cierpień. Ale za dnia już zimna, już niema, ziejąca tylko dusznym czadem zgniłych wyziewów. Odżyły już maszyny i zamarli ludzie.—Po niebie snują się rude, ciężkie kłębiska dymów.

„Biedna Zochna!.. Zochna!.. Zochna! — szeptało coś Kunickiemu jakby w takt łagodnego plusku i miarowego szmeru. Tuż nad głową szumiały mu tak druty telegraficzne.

Przypomniały mu się te jej duże, smutne, łzami zaszklone oczy, gdy wczoraj na niego patrzała. Drobne białe ręce zatopiła we włosach, wsparła głowę na łokciach i nie spuszczała z niego oczu. „A ty — zdawała się pytać, — ty, co tak poważnie mówisz, z takiem poczuciem

wyższości, i łagodnie jak do dziecka uśmiechasz się do mnie, — czy ty umiesz kochać inaczej, lepiej, prawdziwiej?" I wryły mu się w pamięć te wielkie, smutne, jakby przestraszone oczy.

Na ciemne szosy wyroił się tymczasem tłum czarny i rozpłynął się strumieniami po drogach i ścieżkach. Ściemniło się. Rdzawe światło przesiąkło kurzawę, zrudziały dymy fabryczne, zasuwała się mgła sina ciężko i powoli.

Ponad ziemią, naokół, wszczęły się jakieś migotania i błyski i wraz z gwiazdami na niebie zapalały się wśród ciemnych budowli chłodne księżyce lamp elektrycznych. Zaroiło się wnet od świateł bladych i ostrych jak stal, czerwonych i drgających jak krew świeżo rozlana, zielonych jak liść wiosenny, wielkich i żółtych jak słoneczniki. I hen, gdzie tylko poprzez wzgórza oko w ciemności wybiegło, kołysały się ponad ziemią wzdłuż szyn kolejowych wieńce, wstęgi i girlandy tych płonących kwiatów zimnej nocy. Zczerniała przy nich ziemia i błyskiem lodu się pokryła, zbielały w tym blasku dymy fabryczne i stanęły nieruchome jako białe obłoki.

Wciąż jeszcze podnieconej wyobraźni Kunickiego wydało się, że oto jeden z tych dymów przyjmuje zwiewny kształt ludzkiego cienia i wałęsa się wśród tych błędnych ogników. I pomyślał, że jej dusza po takim czyscu błąkać się kiedyś powinna, wciąż jeszcze nie chcąc wierzyć, że wszystkie te kwiaty, choć barwne, choć płoną, zimne są i bez woni.

Tuż za parkanem, gdzie wał wysoki, ryknął pod ziemią jakiś potwór, wybiegł z czarnej czeluści wzgórza, trysnął snopem iskier czerwonych, wydał świst ostry i potoczył się po nasypie. Pociąg biegł, kołatał, trząsł, migał smugą oświetlonych okien; raz jeszcze krzyknął nagle i wpadł w drugi tunel.

Szum głuchy po nim pozostał, jakiś pęd i rozmach w powietrzu.

— Jezus Marya! — Jezus Marya, wrócić!

Borowski stał w ciemnym zmierzchu jak krzyż między mogiłami. Za odchodzącym pociągiem ręce mimowoli podniósł i okamieniał jakby w tym ruchu. „Jezus Marya, wrócić! Wró-óció!..“ już nie jęczał, lecz wył długo i przeciągle.

Kunicki słuchał tego monotonnego skomlenia z niemiłem uczuciem. Podrażniało go to biadanie uparte, nieskończone, niby dziwaczne modły wschodniego muezzina. Teraz dopiero spostrzegł, że legła już noc.

— Panie Borowski, — rzekł dotykając jego ramienia.

— Wrócić na scenę! Wró-óció!..

— Panie Borowski!— wołał, szarpiąc go za ramię.— Późno już. Noc. Kto słyszał, na cmentarzu!.,.

Powlókł się wreszcie za nim. Już dochodzili do bramy, gdy Borowski obchodzący mogiły kołem, miedzami, potknął się o nizkie, przyziemne sztachety nagrobka i runął na ziemię.

Porwał się sprężyście na nogi i obejrzał po za siebie.

— Ciemno, — mruknął Kunicki, aby coś powiedzieć, — Stłukłeś się pan?

A on przyślizgnął się do niego cicho jak kot i podsunął mu swą twarz tuż, tuż pod oczy.

— Znowuż! — szeptał, owiewając go ciepłym oddechem. — Widziałeś?.. Znowuż przewróciłem się przez mogiłę. Trzecia będzie!

Kunicki schwycił go mocno za rękę i wyprowadził po za bramę.

Szli ciemną szosą pośród długich szop i okratowanych budowli fabrycznych. Tu i owdzie przytrafiała się mała lampka żarowa przy murze. W czerwonem świe-

tle ledwo tlejących drutów obserwował Kunicki jego wielką aktorską głowę o twardem czole byka, dziwnie miękkich, kobiecych prawie ustach i nieco mętnych, przepaścistych zadumanych oczach.

— Trzecia! — mruczał ten od czasu do czasu przeżuwając z grubym uporem wciąż jeszcze tą samą myśl.

— Milcz pan u dyabła! — szarpnął się wreszcie Kunicki. Zmora nocna!

— Bardzo żałujesz mej Zochny? — spytał, nie podnosząc oczu.

Kunicki nic nie odpowiedział. On zaś jakby dla odpędzenia złych myśli podjął machinalnie kamień z drogi i cisnął go przed siebie. Kamień wyrznął gdzieś o bruki, odskoczył, znowu drogę skrzesał, skry rzucił i poszedł dalej, jak po wodzie. Po dwóch zaledwie minutach przycichł dopiero grzechot, zgasła ostatnia iskra.

Kunickiemu zapadła jakby pierś w zadumie. Westchnął raz i drugi.

— Bardzo żałujesz mej Zochny? — usłyszał po raz drugi.

Szli dalej. Przed niemi rozesłała się na chmurach ruda i ciężka łuna wieczornego miasta.

Gdzieś na odległej ulicy wszczęło się jakieś głuche po nocy rojenie. Nagle zerwało się gwałtowne i ostre rechotanie świstawki, potem tętent przytłumiony, nawoływania, krzyki...

Obaj stanęli, ściskając odruchowo laski w dłoniach i probując przejrzeć ciemności.

Lecz naokół znowuż cisza zaległa. Szumiały tylko druty na słupach i hen na krańcach bił młot nocnej walcowni.

Kunicki ruszył z miejsca. Borowski wciąż jeszcze stał i strzygł uszami. Teraz dopiero ocknął się jakby ze

swego zapamiętania: twarz mu się rozjaśniła, oczy zabłysły.

— Znowu zbrodnia! — rzekł z uśmiechem.

— Cieszy to pana tak bardzo?

— Lubię miasto! — i pociągnął nosem jak wyżeł.

A nie otrzymawszy odpowiedzi, zawołał po kilku minutach:

— Nienawidzę miasta!

Kunicki rzucił niecierpliwie ramionami.

— Wie pan, co mi za myśl przyszła!— mówił Borowski po chwili. — Panu poprostu zazdrość tamtego, z opowiadań moich. Panu zazdrość, że tam życie takie bujne.

— Nie bujne,— odparł Kunicki,— ale dzikie, wściekłe życie rozpętanych byków! Biada, gdy się pod te kopyta dostanie — dziecko.

— A jednak ludzie płakali razem ze mną, płakali nad mym zgniłym bólem. Nad pańską cnotą ziewnęliby może tylko. He, panie, — taniusia jest cnota na świecie?..

Kunicki ćmił spokojnie papierosa, a otrząsając starannie popiół, mówił niedbale, jakby do samego siebie:

— Ktoś mówi, że nago mogą się ukazywać tylko bogowie. My mamy dziś wszelkie powody do ukrywania swej nagości.

— Widzisz! — parsknął Borowski i wpił mu się palcami w ramię. — Ukrywać!? — Widzisz, dawniej ludzkie namiętności były życia i pracy ramieniem i młotem. Dawniej i bogowie nie wstydzili się swych namiętności. Dzisiaj są one od biurka, od maszyny precz wyklęte i gdzieś głęboko, głęboko pod ziemią ukryte, aby życiu nie przeszkadzały! Ty dzisiaj nic już o nich nie wiesz... Dzisiaj bogów niema. Ale nawet bogów namiętność stačby się musiała w potępieniu gnuśną, jadowitą, trawiącą.

— Dziś mamy rozsądek.

— Wleźże nim czemprędzej w głąb i wynieś swe namiętności na światło dzienne, aby cię nie pożarły! — Macie rozsądek. A jednak... słyszysz? Oto rozlega się krzyk, straszny, beznadziejny krzyk po nocy! Otwarły się podziemia wasze i cuchną. Zrozumiałeś, kto je otworzył? kto jest bólu waszego krzykiem po nocy? Zrozumiałeś, za co mu ludzie dają łzy swoje, święte i czyste łzy ludzkiej tęsknoty?..

— Deklamacya! zresztą chroniczna, — cmoknął niecierpliwie Kunicki. Otrząsł znowu popiół z papierosa i znowu mówił niedbale, cicho, jakby do siebie tylko:

— Ja panu powiem, kto te wszystkie cuda nocne dokonywa: — biedny, chory człowiek... Zaś koniec, — warto zastanowić się i nad końcem, — koniec będzie zwykły: Ostateczny zanik hamujących czynności woli, — ciesz się pan, będą wizye! — gnuśność, — niech się cieszą kochanki! — apatya i otępienie graniczące ze stuporem, — tu już śmierć zęby wyszczerza!.. I to w najlepszym razie, — kończył i spojrzał bystro na Borowskiego, jakby taksując jego siły fizyczne.

Borowski miał już widocznie gotową odpowiedź, lecz ostatnie słowa zamknęły mu usta. Zaniepokoił się widocznie i zagadnął szybko:

— A od czego to pochodzi! Apatya niby?

— Toż mówię!

Przeżuwał myśl jakąś uparcie, czoło chmurzył. Wreszcie:

— Boję się, — rzekł cichym, szczerym głosem dobrego dziecka. — Boję się apatyi!

I zadrżały mu wargi jak u wrażliwej kobiety.

— Siądźmy, — rzekł nagle i, nie czekając odpowiedzi, cofnął się pod mur i osunął na jakąś ławę. Marszczył się, chmurzył, w oczach Kunickiego zapadał gdzieś myślą coraz głębiej.

— Widzisz, póki chodzę, mówię, nienawidzę, — Boże, jak ja wszystkiego i wszystkich nienawidzę! — póty zapominam. Ale niech sam ze sobą zostanę, niech się położę... Sen nie przychodzi... Więc niech mi teatr do myśli powróci, niech się coś ocknie, zbudzi, zerwie! A tu nie przychodzi nic, nic!.. Rozumiesz ty, — nic!..

I gwałtownym ruchem schwycił Kunickiego za rękę. Po chwili zatrząsł się całem ciałem. Zdjął kapelusz z głowy, grzbietem dłoni wycierał jakby zimny pot z czoła. Bladł widocznie, gdyż twarz jego stawała się po ciemku bardziej jasną i jakby fosforyzującą. Kunicki spoglądał nań uważnie i z pewnym niepokojem.

— Co panu?.. Panie Borowski, na litość boską!..

— I z tej pustki wyłania mi się, — zgroza, tylko zgroza! Nieludzka straszna groza wytrzeszcza na mnie zimne oczy: rzeczywi...! — „Zośka!!“ — krzyknę jak szalony, zerwę się z łóżka i błędnie, omackiem trafiam tam do niej. I jak dąb podcięty walę się na jej białe piersi. „Zasłoń mi oczy, Zośka!“ — Zasłania, rączynami twarz mi okrywa. „Nie bój, nie bój się, Władek.“ „Całuj, Zośka!“ — Całuje. — „Zochna, Zochna, Zochna ty!!..“

Zdaleka jakby w zaczajonej ciszy ciemnego przedmieścia słyszeć się znów dały niecierpliwe, ostre sygnały świstawki, wołające niewiadomo gdzie i niewiadomo komu na pomoc. Bo zresztą cisza była. Hen na krańcach bił tylko młot walcowni, a tuż ponad głową szumiały im obu druty telegraficzne:

Zoch-na ... Zoch-na ... Zoch-na...

Wreszcie zabłysły światła w oknach podmiejskiej ulicy. Kunicki zaprowadził Borowskiego do najbliższej robotniczej restauracyi i, wmuszając w niego wodę, mówił coś o słabej woli, o rozhukanej wyobraźni, o potrzebie leczenia. Borowski odstawił szklankę wody na bok i odpowiadał mu powolnym, zmęczonym głosem.

— Pan osądza wszystko tak łatwo, prosto, hygienicznie, że aż miło słuchać. Uspakaja to jak ciepłe okłady. Taki świat mały, a pan taki duży, duży. Taki świat chory, a pan taki zdrów, taki hygienista... Duży, duży hygienista! — A biedny chory światek skruszył się, zesechł, zblakł. — I pana nigdy nie straszy zmora rzeczywistości?

Kunicki uśmiechnął się ckliwo i niedbale.

— Eh, pan świat ma w kieszeni. On pana nie przestraszy.

— Jestem lekarzem, panie Borowski.

— Właśnie!.. Absyntu, duszko, — zwrócił się do kelnerki, wciąż jeszcze tym smutnym zmęczonym głosem.

— Ja proszę wody sodowej! — pośpieszył się Kunicki.

— Dla pana doktora syfon wody.

Światło było mętne i senne. Pokój nagi, przesycony zapachem słodu i farby olejnej. Dwóch wielkich, ciężkich robotników, o rudych, źle wygolonych twarzach, drzemało wraz z gospodarzem nad gazetą, mającą okrzyk „Naprzód!“ w nagłówku.

Kunicki sięgnął po gazetę i zapytał od niechcenia:

— Czytujesz pan to?

— Namiętnie. — Kati chodź no tu i podaj łapkę... Niechno pan doktór spojrzy, tak tylko, dla ciekawości. Przecież to jest fenomenalne! U kobiet z tej klasy? U niemki zwłaszcza!

Kati przedrzeźniała obcą mowę, zaśmiała się piskliwie i pobiegła za bufet. — Milczeli przez dłuższy czas.

Borowski popijał zrzadka, wolno i obserwował uważnie trzech śpiących robotników, jak, budząc się z drzemki, rzucali od czasu do czasu dorywcze, opryskliwe zdania zmęczonych ludzi. Potem znowu przyzwał Kati do siebie i w smutnem zamyśleniu bawił się palcami jej ładnych rąk niby paczką zapałek.

Kunicki nie wytrzymał.

— Puśćże pan ją, — zawołał. — Mnie to osobiście dotyka, w mojej godności ludzkiej. Przecież to człowiek, a nie mebel. Dziewczyna przytem zmęczona; musi pracować osiemnaście godzin na dobę.

— Według wykazów statystycznych, — dopełnił Borowski.

I kazał podać sobie drugą porcyę absyntu. — Gospodarz zbudził się wobec tego ostatecznie i przyszedł powitać gości. „Towarzysz?" — spytał, widząc gazetę w rękach Kunickiego. A otrzymawszy skinienie głową, przysiadł się do stołu i powtórzył te same, dorywcze, gburowate zdania, jakie wyszły przed chwilą z ust drzemiących wciąż robotników.

— Miał dawniej dom publiczny, teraz trudni się wyszynkiem i rewolucyą — gawędził ze sobą Borowski, gdy gospodarz powrócił do swych robotników.

Spostrzegłszy zaś oburzenie Kunickiego, ni to zagwizdał, ni to zanucił:

— C'est le peuple! le peuple! le peuple!..

Kunicki spostrzegł w tej chwili jakieś konwulsyjne drgnienie aktorskie w jego grymasie. „Oho, — pomyślał, — trzeba nam wracać. I ten gotów mi dać przedstawienie jubileuszowe".

— To zamiłowania do brudów, — rzekł głośno, — łatwo wytłómaczyć: pan tylko tem żyjesz, że siebie usprawiedliwiasz.

— Staram się znaleźć trzeźwy, życiowy ideał:—ideał społeczny.

— Cynizm groszowy. Złodzieje kieszonkowi mają go nieraz w lepszym gatunku. Dla mnie byłby tylko nudnym, gdyby nie... pańska żona, panie Borowski!..

On podniósł głowę i przysunął się bliżej z krzesłem.

— No? — pytał chmurnie.

— Biedna tylko. Nic więcej.

— Ba! — odrzucił się niedbale w tył.

— Zasługiwałaby na coś więcej, niż na pańską miłość. Tymczasem...

— Jakąbyś pan jej dał? Coby taki jak pan z niej uczynił? — Szarej swej duszy wieczną samotnicę, dzieci swych milczącą niańkę, karyery swej czujnego psa. I czem pan taką potęgę, jak miłość, mierzysz? Paznokciem, — zaśmiał się nerwowo w kieliszek.— Paznokciową miarą mieszczańskiej solidności.

Kunicki cofnął się z niesmakiem.

— Chodźmy. To staje się zupełnie plugawe, ta opętana alkoholem monomania erotyczna. Pańska głowa wypowiedziała się w życiu dostatecznie. Dla niej niema na świecie nic innego prócz kobiety.

— Niema! — krzyknął, powaliwszy się piersią na stół, i schwycił Kunickiego za rękę. — Dla wielu, dla bardzo wielu ludzi niema nic na świecie prócz ukochanej kobiety. Ona jest im wszystkiem! Jest żarem czynów, cierniem wytchnienia, gwiazdą nadziei, słońcem wiary w siebie; — a przedewszystkiem jest, jak cnota, sama w sobie celem i źródłem najwyższej na świecie rozkoszy.

— Dosyć! — krzyknął Kunicki zmęczonym głosem i, wywierając gniew na syfonie wody, odsunął go energicznie od siebie. — Dosyć!.. I ciągle, i bez ustanku, i wiecznie tylko kobieta. Paneś mi je chyba na całe życie obmierził.

— Słabyś ty ze swą wodą sodową!.. Czy suchy pająk medyczny i tego nie rozumie, że trzy czwarte życia koło niej się obraca, że dla milionów jest celem trosk jedynym — milionom przyobiecana nawet po za grobem — życia i śmierci władczyni!..

A utkwiwszy swe mętne, przepaściste oczy gdzieś u pułapu, mruczał w szczególnem natchnieniu:

— ...na stopniach uświęconych ołtarzy! pod błogosławiącemi ramiony białych kapłanów! wśród kadzideł mirry! organów wysokiego grania i zawodzącego chóru tęsknoty do życia!..

Czknęło mu się. — Głowa na sztywnym grzbiecie rzuciła się w tył. Opanował się jednak i zmógł, a białą jak kreda twarz pochylił nad kieliszkiem.

— Płacić! — krzyknął Kunicki i zerwał się z miejsca.

Borowski podniósł głowę i rozejrzał się błędnie naokół. Poczem uniósł się poważnie i wyszedł sztywno na ulicę. Tu zachwiał się dopiero i w zmęczoną pierś wzionął z rozkoszą powietrze miejskie.

Szumiało miasto. Szły zdala tysiączne pogwary, turkot i głuche dudnienie, rozkołysane tu na przedmieściu w jakiś miarowy, senny takt. W tym rytmie sennego jakby walca, falowała, zda się, i ta u czarnych wież gotyckich zawisła jasna, żółtawa i zimna jak stal mgławica. Nieruchomo stała tylko rdzawa, niezmierzona głąb nieba, na której tu i owdzie, zrzadka, mrugnęła na chwilę mała, żółta gwiazda.

Borowski słuchał i patrzał: wchłaniał w siebie szum i woń miasta. Kapelusz na tył głowy zsunął i zgarniał z białego czoła garście długich czarnych włosów! Chwilami się zataczał i odruchowo wyciągał przed się ramiona. Wreszcie wsparł się o potężny słup lampy łukowej. Mruczał: majaczył, czy też improwizował coś po pijanemu. Kunickiemu przypomniało się nagle jego skomlenie na

cmentarzu, gdyż oto do uszu jego dobiegł ten sam głęboki, żałośliwy głos. Słuchał:

— ... Lodem miasto w nocy zamarza, dla samotnych chłodne, dla cierpiących nielitościwe. ... Miasto w ciszy nocnej o gnuśnych zbrodniach tajemniczo gada, miasto wielomilionowe, zimne, ponure. ... Ja czuję puls twój chory, o miasto wielkie, ja, zgnilizny twej powiędły kwiat, ja, młodością mą zgrzybiały i gnuśny, ja, czarny twój kapłan, ja — aktor!...

Światło lampy łukowej przygasło nagle i rzuciło czerwone blaski. Zmogło się wszakże, bo z upartym sykiem rozpłomieniło się po chwili w równej, chłodnej, fioletowej toni.

Kunicki tymczasem spłoszył się zupełnie. „No, — myślał, — ten już chyba dostał obłędu pijackiego.“ I oglądał się po ulicy, aby na wszelki wypadek mieć ludzi pod ręką.

Ale Borowski wnet opadł, zatoczył się, bełkotał:

— Doktorze, choć kieliszek koniaku jeszcze!

— Pan musisz chyba iść jutro do jakiejś pracy. Nie?

— Muszę, — potwierdził bezmyślnie.

Lecz w tejże chwili zaciął się, począł walić laską o mur i wołać uparcie:

— Nie muszę, ale chcę... Z własnej dobrej woli chcę... Dla własnej mojej Zochny chcę... I nie przez sentyment, jak się pańskiej głowie śni. Dla jej włosów złotych z wojska uciekłem, dla jej jasnego czoła pieniędzy chcę. Nie pracy. Ja pluję na pracę. O, — tfu!

Stał na trotuarze sztywno i tak się na stopach kołysał, że Kunicki bał się, iż lada chwila twarzą lub potylicą o bruk uderzy.

— Doktorze, — mówił po niejakim czasie, starając się koniecznie objąć Kunickiego za szyję. — Dok - torze! doktór jest nieszkodliwy pajączek, na bardzo drobne i chore

muszki w uniwersytecie ułożony. Doktór ma angielski cynizm, jest sobie „matter of fact.“ Doktór zrobisz bajeczną karyerę na hygienie. Będziesz się cieszył szacunkiem u panów noszących flanelowe paski na brzuszkach — i u społeczeństwa... Będziesz niepokonanym autorytetem w kwestyach kataru kiszek, impotencyi obowiązującej, piękna, dobra i ideałów społecznych... Doktór ma głupią teraz minkę. Daj mi buzi, doktór...

— Ja doktora chcę w pysk pocałować! — rozgniewał się nagle, chwycił brutalnie jego głowę i wycisnął mu na ustach twardy pocałunek... — Nie pluj doktór, bo...

— Bo ja doktora kocham. — dokończył niespodzianie w łagodnym spadku.— Ja kocham doktora, — powtórzył jakby po głębokim namyśle, miękko i rzewnie, jak dziecko. — Ja tobie, słuchaj doktór, wyspowiadałem się jak histeryczka księdzu: z detalami... Ja tobie bramę do mego serca otworzyłem. A potem każę ci wleźć głębiej. Ja... O Jezusie Maryo!.. Weź mnie pod ramię i prowadź!.. Czarnej kawy zafunduj... Nie, — stój!.. Czekaj.

I stali tak razem przez jakiś czas. Kunicki nie puszczał go, mimo wszystko, wiedząc, że lada chwila runąłby na ziemię.

— Oh! — westchnął wreszcie Borowski. — Co też ja chciałem?.. O czemże to ja?.. Poczekaj, poczekaj!.. O Zosi! — Chcesz o Zochnie? — A czemu milczysz, szelmo, jak pień? czemu nie gadasz, że chcesz o Zochnie?.. Zochna ma takie ciało... I, nie szarp się, nie szarp!.. Przecież ja czuję — nie wiem, ale czuję — że ty na to za mną się wałęsasz, na to mych spowiedzi słuchasz... Ty, szpiegu cudzej nikczemności, coś własnych uczuć nie wyszpiegował! Taki, jak ty, stać się może strasznym, gdy zapomni o karyerze.

Kunicki odtrącił go od siebie. Instynktem kierowany rzucił się Borowski między dwie kamienice. I tam

rozwiał się ostatni przebłysk jego trzeźwości. Osłabł zupełnie, rozmawiał już sam ze sobą: — opowiadał coś brukom miejskim o złotych włosach swej Zochny.

— Znasz ty, — mówił wyciągając w stronę Kunickiego bezwładne swe ramię z obwisłą dłonią, — znasz tę polską bajkę o stratowanym przez świnię kwietniku? I tę francuzką... Daudeta... „Z mojego młyna,“ — wykrzykiwał bezdźwięcznie, jak echo, a dłonią twarz tarł, coś koło szyi nią poprawiał.

— O tym... mózgu złotym? — wykrztusił wreszcie z trudem. Szarpnął i zdarł kołnierz.

Kunicki podbiegł i schwycił go za głowę.

— O... o... Boże mój wielki!.. O tym mózgu złotym...

Po kilku minutach wytrzeźwiał nagle i niespodzianie, jak stary pijak. Nastawił kołnierz palta, zapiął się starannie i powoli, grubą laskę z ziemi zgarnął, kapelusz podniósł i głęboko na czoło nacisnął. Odchodząc spoglądał twardo i pochmurnie. Kunicki wyczytał w tem spojrzeniu nienawiść. I nie zdziwiło go to wcale.

Rozeszli się, i każdy poszedł w swoją stronę. Kunickiemu huczało w głowie jak w młynie. Wszystkie myśli tonęły w nieokreślonej, fizycznej wprost niechęci do tego człowieka. Miał do niego tę nieświadomą odrazę, jaką czuje chart do wilka, jamnik do lisa, ptak polny do kukułki: — nienawidził w nim obcego, wrogiego sobie, drapieżnego gatunku.

Z wiru niejasnych wspomnień wypłynęła nagle jedna dziwaczna myśl.

„On teraz, w tejże chwili kamień podnosi, zamierza się... celuje...“

Zwrócił gwałtownie i zbliżył się do niego.

— I na co pan czekasz? Czemu pan do domu nie idziesz?

Borowski wywijał laską.

— Chciałem jeszcze, — zaczął niepewnym głosem.

Uśmiechnął się jakoś cierpko, dłoń wysunął i skurczył palce.

— Rubla masz?.. To jest, właściwie, — pożycz mi doktór markę.

— Pić pan będziesz?

— Bóg widzi, doktorze, — coś zanadto dziś cięży. Nie udźwignę po trzeźwemu.



Łunicki począł się bać jak ognia tych chwil, gdy myśl, umęczona pracą, a nie przykuta do mechanicznego zajęcia, ponosiła go w dziedzinę wspomnień. Bał się tych cichych, smutnych wieczorów przy bladem świetle lampy. Wówczas czuł, że w duszy jego nurtować coś poczyna, jak w tych źródłach letnich, co z głębokich warstw idąc czasami się wzburzą i zapienią, świadcząc tylko, że tam gdzieś w głębi czyhają obce potężne siły. Oto na kartach książki uporczywie trzymanej przed oczyma rysują się jakieś bezładne obrazy, wyzierają z nich postacie zagadkowe i bolesne. Widzi dziewczynę zbiegłą od rodziców i wyczekującą w ulewie na to, by do nóg rzucić się łotrowi; — bo ta najstraszniejsza krzywda, jaką wyrządzić można kobiecie, przykuwa niejedną na całe życie do nóg mężczyzny: położy się przed nim jak pies czujna i zazdrosna o jego miłość. I o ileż czystszą, większą, głębiami uczuć mocniejszą jest ta niewolnicza dusza od serca swe-

go władcy! Lecz oto jej kat staje się jej całopalnej ofiary uświęconym kapłanem. — Kunicki widział w tej chwili wielkiego aktora, dającego bezsłownej i niemej rozpaczy dziewczyny męzki dźwięk skargi i zatrzymującego setkom ludzi oddech w piersiach.

Z kolei przypomniały mu się te rozluźnione w aktorstwie dusze: starzec rzucający z ustępu Tobiaszowe przekleństwo i wieszający się w aktorskim szale, oraz dziedzic jego talentu i zgnilizny, który, w braku udzielania się w aktorstwie na zewnątrz, spala się w żarze własnych namiętności. W tym miękkim zapachu zmysłów, w odurzającej, lubieżnej woni, w gorących wyziewach alkoholu zniszczał i przepadł człowiek. Lecz oto jak Feniks z popiołów powstaje aktor i w braku nowych ofiar staje się kapłanem własnego całopalenia. — Kunicki przypominał sobie, już nie z odrazą, lecz wprost ze strachem, te jego hymny na cześć miłości, te tęskne wycia do gnębiącego go potwora miasta.

Dalej odżyły mu w pamięci kłębiące się ogniem kominy fabryczne, głuche tajemnicze świstki na ciemnych przedmieściach, postacie ospałych i ciężkich jak młoty parowe robotników, oraz gnuśnego lichwiarza, radykalizującego trywialnie opiłym głosem.

Piosnka anarchistycznej Carmagnoli ocknęła się niewiadomo zkąd w pamięci; na inne słowo, lecz tą samą melodyą i taktem dokuczała uparcie myślom:

C'est la vie! la vie! la vie!

A ciemny kąt w głębi pokoju dziwnie pociągał wzrok; tam stała niema, niby wyczuta obecność ludzka, szeroko otwartemi oczyma wpatrzona samotność.

Zgiełk uliczny tłumiła noc; od czasu do czasu zerwał się jeszcze gdzieś w dali i tonął w ciszy tak nagle, jak niespodzianie wybił się po nad nią. Ucho chwyta jakiś gwar pomieszany, jakiś turkot głuchy, tętent po-

śpieszny; chwyta i łowi je napróżno: ucichły, utonęły w ciemności i ciszy. Uwagę zaniepokoją raptem ludzkie głosy: coś jakby okrzyk zgrozy, wołania o ratunek, tajemnicze hasła przerzucane gdzieś w dali. Echo niesie z drugiej strony szczątek pijanego śmiechu, skłóca, miesza te odgłosy, a wielka cisza wieczoru tłumi wszystkie pogwary.

Idzie ktoś po schodach: stąpa ciężko, powoli. „Jak wyraźnie słychać dziś wszystko,“ — dziwi się Kunicki. — „Własne westchnienie wydaje się niemal jękiem.“ — Idzie: schody trzeszczą Zatrzymuje się, dyszy ciężko. Waha się, czy za dzwonek pociągnąć. Niesie zło, czy dobro? Co przychodzi zwiastować?

Czekać każe na siebie. I niecierpliwi. Jezus Marya, jakże rozdrażnia!

Dzwonić prędzej!

Schody trzeszczą: — ktoś wolnym starczym krokiem drapie się o piętro wyżej.

Kunickiemu coś piersi podnosi i stłacza znowu w westchnieniu. A z ciemnego kąta pokoju patrzy, zda się, zimna, badawcza, zadumą smutna melancholia, — jak ta na sztychu Dürera, co, globus, księgi i teleskop na bok odłożywszy, zapatrzyła się w skupieniu w duszę ludzką.

I gdy stokrotnym tłumem milczące pająki
Snują zabójcze sieci... —

przypomniało się Kunickiemu. „Zkąd mi to nagle do głowy przyszło?“ — dziwi się sam sobie. Szuka w myślach przyczyny tego smutku, co ołowiem zaciężył mu na piersiach, i znajduje tylko jedną odpowiedź buntu: „Ja nie chcę, ja nie potrafię być sam ze sobą.“ Instynkt zwraca mu myśli w stronę zajęć codziennych. I oto z kart książek medycznych, z kamiennych szuflad szpitali, w które zaglądał zwykle z taką obojętnością, wyjrzały twarze

żółte, zapadłe, suche, z okropnym strachem śmierci w rozszerzonych źrenicach. „Wesprzyj się na nas, wesprzyj! Wszak tą drogą, kosztem najmniejszego kalectwa doszedłeś do poczucia twej wyższości, dorobiłeś się marsa poważnej zadumy.“

Tymczasem wiatr idzie ponad miastem: syczy zdala jak raca, lada chwila skłębi się, zburzy, w szyby zadzwoni, oknami zatrzęsie. Lecz oto syk ten ani w dal się nie ponosi, ani zawierucha nie pęka: — łamie się, tonie, grzęźnie wśród nocy.

Na stole pali się świeca tylko, o ceglasty jej płomień tłuką się ćmy. Słuch Kunickiego zapada w tę pustkę i ciszę, czai się w półsennem odrętwieniu, czuwa niezmordowanie — i w tejże chwili wydaje mu się, że ktoś za nim stoi: czyjeś miękkie dłonie chłodzą mu czoło, ktoś się nad nim pochyla, owionęło go ciepłe tchnienie, słyszy własny swój oddech...

Zerwał się i zgasił świecę. Za chwilę szedł, a raczej biegł przed siebie, byle w tłum, byle między ludzi!

Niebawem znalazł się w parku. Ale i tu były pustki. Po długich alejach wałęsały się jakieś ciemne i gnuśne postacie, których cienie nawet miały w sobie coś podejrzanego. Zaś po ławkach, gdzie spojrzeć, — znieruchomione w cieniu, w siebie wtulone i zaszeptane pary.

Kunicki poczuł nagle niewypowiedzianą odrazę do tych ludzi, do których tak gorączkowo garnął się przed chwilą. Osunął się na ławkę, nastawił kołnierz i zapadł we własne myśli. Od czasu do czasu nietoperz, zmyliwszy w górze drogę, spadał mu kulą przed twarz i zrywał się z przed oczu jak czarny upiór. A ciężka głowa chyliła się coraz niżej w jakiś bezdenny, niewypowiedziany smutek.

Wyszumiały mu go wreszcie drzewa; tak niedawno czytał:.....

Samotnyś. Błądzisz. W wyobraźni chorej
Rój dziwnych widem myśli twoje niańczą,
Zdasz się sam sobie duszą wywołańczą,
Od której pierzcha tłum w ucieczce skory.

I mroki zwolna w duszę twą się sączą,
Gaszą w niej wszystko, tłumią swą opończą,
I pustka wielka zalewa ci łono.

Nawet marzenia, które życie złocą,
Pierzchły jak ptaki. Z głową opuszczoną
Szepczesz bez myśli: „Po co wszystko? po co?"

... I znów tylko wilgotne poszumy drzew, i ten głuchy, ciężki gwar miasta zdaleka. Czujne ucho chwyta nagle szmer odmienny, cichy, jakby lekkie, pośpieszne stąpanie. Żwir zaszeleściał, — a jemu serce młotem w piersiach zabiło... Ktoś podchodzi, słania się nad nim, chłodne, miękkie dłonie obejmują skroń...

Boże mój, Boże!..

Z pod ławki wysunął się kot o grzbiecie w pałąk zgiętym i twardo wystawioną kitą ogona. Na stężałych jakby nogach szedł sztywno, błędnie, świecił ogromnie rozszerzonemi ślepiami i wlókł za sobą wielki, potworny cień. Kunicki uderzył kijem to czarne licho. Kot skoczył w krzak i rozległy się niebawem przeraźliwe, ochrypłe, gardłowe syki, a potem jakby beznadziejne szlochanie dzieci po ciemnym parku. Koty darły się po kątach.

A gdy one ucichły, rozległ się z poblizkiej ławki głośny pocałunek i szept stłumiony — duszny. Kunicki miał ochotę podejść tam i bić, bić, co sił starczy.

Jezus Marya, — jakież to wszystko wstrętne!

Powiał znowuż wiatr wilgotny, niosący z sobą miękką woń świeżo zoranej ziemi.

Wiosna, — przypomniało się Kunickiemu.



Za chwilę był w kawiarni.

Tu przynosił zwykle ciężkie brzemię samotności i w ogromnej potrzebie ludzi wchłaniał w siebie wielki gwar obcego życia. Cichy i niewidoczny na uboczu, leczył się jak chore zwierzę widokiem gromady; zbiedzony, przybity smutkiem, zapominał o sobie: ginął, rozpraszał się, wsiąkał w tłum wielkomiejski

— Pessymizm? Pessymizm? — rzucił niedbałe pytanie ktoś tyłem do niego zwrócony i pochylony nad bilardem. Poznał znajomego dziennikarza Jelsky'ego, „trochę polaka", jak zwykł mawiać o sobie. Widywał go u Borowskich.

— Gorzej, — wstręt, — odparł.

— Na podkładzie sentymentu może?

— Nieomal.

— Takich wzruszeń doznaje się tylko w małżeństwie.

— Pan uprawiasz cynizm zawodowo, metodycznie.

— Wiatr wiosenny owiał pana sentymentem — zaśmiał się Jelsky i przysiadł się do niego z kijem bilardowym w ręku. — Widzisz pan, oburzanie się jest niedołęż-

nem seplenieniem ludzi sentymentalnych, sentyment mową karyery w powijakach, cynizm jej pieśnią łabędzią. Jesteś więc pan sam na najprostszej drodze do cynizmu.

Podobał mu się widocznie frazes, gdyż, ukrywając uśmiech, zapalił papierosa.

— To też, — mówił dalej, smakując równie w papierosie jak w swej złośliwości, — to też z uwagi na pańską niechybną karyerę, oraz na obiecujący jego sentyment, radzę panu czemprędzej...

Dokończył mu na ucho.

— Kobietę.

Łagodząc zaś swe powiedzenie uścisnął go za rękę.

— *Allons, petit bourgeois*, — zawołał, chwytając go pod ramię— przedstawię pana mej przyjaciółce.

I nieomal przemocą zaciągnął Kunickiego w drugi koniec kawiarni.

— Nazywamy się Lili, — rekomendował, — nietyle ze względu na dziewiczość, ile na bajeczną płeć.

Kunicki znalazł się w ten sposób, wbrew woli, u stolika dziewczyny młodej, niebrzydkiej, o dziwnie białej cerze i ogromnie czarnych aksamitnych oczach.

— Panna Lili, — mówił wciąż Jelsky, — ma w sobie coś ze storczyka: *Cephalantera alba*.

— Także komplement, — zaśmiała się piskliwie, — musiałabym chyba szukać w Lexiconie.

Jelsky schwycił przewijającego się tuż obok piccola.

— Mały, Lexicon dla panny Lili. Litera C.

Ale Kunickiemu nie do pustych było gawęd. To też rad był, gdy Lili odęła się poważnie, podejrzewając, że obaj przyszli po to tylko, aby z niej zadrwić. Powrócili na swoje miejsca.

— Och, żebyś pan wiedział!.. — skarżył się za powrotem Kunicki.

— Wiem i widzę, żeś pan swym sentymentem zajechał na ślepe szyny. Hamuję, pcham z powrotem na rozsądną drogę karyery: — robię, co mogę.

— Pan mi dziś karyerą tak dokuczasz! Mój panie, dlaczego pan jesteś dziennikarzem, a nie filantropem?

— Ponieważ to *métier* jest najmniej odpowiedzialnem.

— Aha! — Ale pan-eś w kawiarni jak u siebie w domu?

— Mieszkam, — odpowiedział z filozoficznym spokojem, i pilnikiem kieszonkowym począł szlifować sobie paznokcie. — Z obowiązku, z fachu. W kawiarni robi się dziś kultura. Nawet prorocy nie każą dziś na górach, tylko po kawiarniach.

Rzucił okiem na gazetę i swym pilnikiem wskazał niedbale jeden ustęp.

— Jest tu nowy żer dla pańskiego sentymentu i nowe kastalskie źródło wstrętu... Oj, te idee, te idee!.. Wraca zkądciś banda obieżysasów galicyjskich i wiezie piękne gościńce kultury do swej ojczyzny. Jeden w drugiego! — powiadam panu. Jeden w drugiego! kobiety! dzieci nawet!

Kunicki nastawił uszy.

— Boże wielki, to ich nie można puszczać tam, — do kraju.

— Więc ich wyrzniemy, — konkludował flegmatycznie dziennikarz, nie przestając szlifować paznokci.

A po dłuższej przerwie, jaka okazała się konieczną przy tej operacyi, ziewnął i rzekł:

— Powinieneś się pan czemprędzej wyleczyć z tego świerzbu społecznego. Zostaw pan tłuczenie o mur twardszym głowom, a bity komunałami trakt idei pospolitszym owcom! Me! — me! — jak źle jest na świecie.

— No, dobrze! — szarpnął się Kunicki, rad, że mu ktoś pomoże do wgadania się w przyczynę dzisiejszego smutku. — No, dobrze! — leczyć ludzi z niesmakiem i obojętnością, patrzeć co krok na zbrodnie i potworność życia, oddychać zatęchłem powietrzem nędzy i cierpienia... I to wszystko razem nazywa się?...

— Zadowoleniem ambicyi tylko. Po za tem, jest się, chwalić Boga, jeszcze człowiekiem i można...

— Grywać w bilard.

— Chociażby.

— Albo pić.

— I to nie jest do pogardzenia. W piciu jest zupełnie ta sama mądrość, co i w życiu: — złudzenia. Oczywiście nie każdy pije na to tylko, aby z Bachusem wywracać koziołki.

— Przypuśćmy, że nie pijam.

— Ależ się pan objuczył pryncypiami. Prędzej czy później taki pociąg towarowy wykoleić się przecie musi. Nie pijasz pan? Tem bardziej należy pamiętać, że tam oto siedzi Lili i nudzi się nad Graphic'iem.

— Pozostawiam ją panu.

— Dziękuję za dziś, — odwzajemnię się jutro. Po za tem, o ile pana interesują problemy życiowe... (Jelsky wciąż oglądał swe paznokcie).. po za tem, lekarz, naprzykład, może leczyć uczciwie, ile że nie ma powodów, dla których człowiek inteligentny miałby coś robić niesumiennie. Dalej, można czytywać książeczki nie jako katechizmy komunistyczne, lecz jako mowę nowego umysłu i nowej duszy, z któremi w kawiarni niezawsze spotkać się możemy. Nakoniec można rozglądać się po świecie, co bywa ostatecznie najzabawniejszem.

— I to wszystko?

— Można jeszcze...

— Zajść do kawiarni, — zaśmiał się nerwowo Kunicki. — Oto do czego sprowadziła się u was zagadka życia!

Jelsky zajął się tymczasem przeglądaniem jadłospisu.

— Można jeszcze... — powtórzył.

— No?

— W łeb sobie strzelić, o ile ktoś kwestyę swego przyjścia na świat wziął zbyt poważnie. — Nie podnosząc głowy, wywrócił ku Kunickiemu białka oczu, uśmiechnął się kwaśno i dodał:

— Im bardziej szarem jest czyjeś życie, tem większa śmieszność w takiem zakończeniu.

Kunicki gryzł i szarpał w zębach munsztuk od papierosa.

— Szare życie, szare życie, — bąkał. — Szary, przeciętny, nieomal przeciętny! — wybuchnął w nagłem rozdrażnieniu. A ręka mu się trzęsła, gdy ją do papierosa podnosił.

Jelsky teraz dopiero podniósł głowę. Twarz wyciągnęła mu się wyrazem zdziwienia.

— Panie — wołał tymczasem Kunicki, — dzisiaj ci szarzy ludzie zanadto uświadamiają sobie życie na samym już wstępie. Znają nietylko maximum tego, co osiągnąć mogą, ale i to całe morze małych fałszów, lichych komedyj, mizernych podstępów, aprobowanych podłości, jakie przepłynąć muszą. Cel ich niezbyt pociąga, a droga nazbyt odraża. I to jest tragedya szarych ludzi.

— No — „tragedya!“ — skrzywił się Jelsky.

— I pan chcesz im odebrać jeszcze wiarę w obowiązki społeczne, w ideały. Trzeba im te zostawić, chociażby...

— Chociaż dopóty, dopóki im skóra nie stwardnieje. Potem cisną tę tarczę sami, na głowy młodszych. I to z rozmachem wielkim. Hę?

Kunicki wpadł już w pasyę.

— Więc czemże, czem nam się bronić przeciw temu smokowi wszystkich improduktywów, co na mnie nałazi i ziewa mi w twarz smutkiem życia, nudą, pustką... O tak, pustką! Zresztą, nie! Ja ciągle jeszcze nie o tem mówię, co mi dolega. Mnie dławi, oczadza, dusi poprostu niesmak, obrzydzenie i wstręt do wszystkiego!— krzyknął niecierpliwie, — zerwał się i schwycił za kapelusz.

— Wiosna, — westchnął melancholijnie Jelsky, zakładając serwetkę za kamizelkę.

Podaną sobie dłoń zatrzymał jednak w ręku.

— My wszyscy tak intensywnie odczuwamy dziś wiosnę! Wiedzą coś o tem restauratorzy miejscy. Jest to najstosowniejsza pora, aby pić.

Siłą niemal posadził go przy stole i nalał mu kieliszek wina. Kunickiego rozbrajał zupełnie ten jego spokój.

— Ja nie jestem przyzwyczajony... Chociażby dla tego.

— Głupstwo! — Jelsky zabrał się ze smakiem do kolacyi. — Pan nie pijasz, — wywodził przytem, — ponieważ to wytwarza podobno rozszerzenie serca, nazywacie to *cor bovis*. Ale wierz mi pan... (Jelsky, nie znalazłszy czegoś przy nakryciu, zadzwonił w talerz).. wierz mi pan, stokroć gorzej nie pijać, nie szaleć, nie umieć stawiać życia na jedną kartę i wołać „va banque!“ To wytwarza z czasem *cor ranae*, serce żaby.

Kunicki patrzał ze zdumieniem na jego krzętny apetyt w tej chwili.

— „Szaleć?“ „Na kartę?“.. Pan chyba miał *Speisekarte* na myśli.

— Oho, — skrzywił się Jelsky. — Ja nie wrzeszczę i nie szarpię włosów jak pan, tylko rozumuję. A to nie przeszkadza mi jeść... Z takiem sercem żaby gorzej żyje się na świecie, — żadne uczucie już się w niem nie zmieści.

— „Uczucie!?“ — powtórzył Kunicki jak wprzódy. Wzruszył ramionami, i bezwiednie zupełnie, jakby w złości, podniósł kieliszek do ust.

— Miłość, — tłómaczył dalej Jelsky, — miłość, co słońce wesela winna zapalać nad głową, rzuca takim ludziom tylko cień goryczy, obrzydzenia i wstrętu na jałową codzienność. — Hę, jakaż to znana nuta!... Gdyby najada, zbudziwszy się gdzieś w górskiem uroczysku, huknęła „kocham!“ — echo z dolin ludzkich przyniosłoby jej wołanie: „jałowość, nuda, gorycz!“ Gdyby Prometeusz skruszył górę i grzmotem obwieścił ziemi: „Bracia, zerwałem kajdany, — po nowy idę dla was ogień,“ — echo odpowiedziałoby: „gorycz, obrzydzenie, wstręt!“

Jelsky napił się wina, otarł usta serwetą, odstawił talerz i gestem nakazał przynieść sobie następną potrawę. Kunicki powtarzał w myślach: „miłość,“ „najada,“ „Prometeusz,“ „kajdany,“ „płomień,“ powtarzał przytem mimowoli z tym samym smakowitym akcentem, z jakim wygłoszone były te słowa. I wytrzeszczał już tylko oczy na Jelsky'ego. A potem znowu pociągnął z kieliszka.

Jelsky zaś prawił.

— Spojrzyj pan, ile tej goryczy, ile śliny i jadu na wszystkiem, czego się dotknąć, na co spojrzeć... (prosit, prosit!.. pij pan śmiało!)... do czego przywiązaćby się chciało. Od takich właśnie ludzi ta ślina, ten jad ropuszy pochodzi. W żabich serduszkach niezmieściło się umiłowanie społeczne.

— „Umiłowanie społeczne!?..“ Pan żartuje?

— Mówię, umiłowanie społeczne nie mieści się dziś w marnych, skarlałych sercach. Zaledwie wciśnie się w nie doktryna. I oni, oni to właśnie każą nam wierzyć w ideały.

— „W ideały!?..“

— Niewątpliwie! Przy każdem rozdrożu stoi taki właśnie drab z maczugą w ręku i woła: „Idź tą drogą,— a nie to po pysku!..“ Czyż to nie ironia życia?

— Ironia?. Ha! ha! — Tak, tak, — to wszystko racya, co pan mówisz. Ja to czuję. Ha! ha! — Ironia! Ironia! — Pan - eś mnie zaraził apetytem. Zjem chyba kolacyę i wzniosę się na wyżyny filozofii spokoju... Nie, po coś mi pan wmawiał to wino?.. Ha, ha! — ironia...

Kunicki po jednym kieliszku poczuł już obezwładnienie w członkach. Ciężką głowę wsparł na łokciu i zapatrzył się na Jelsky'ego.

— Ja pana nie rozumiem wcale, — rzekł nagle poważnie. — Zresztą, głowa mnie boli. Ha! ha! — Nie, — ta ironia! — i znów śmiać się począł.

— To szkoda, bo ja pana znakomicie rozumiem.

— Ja boję się pana, — boję się, jak czegoś zupełnie obcego. — Zresztą, — nie, ja nie jestem pijany! — zresztą, wierzę, iż pan wszystko wie. Mój panie, niech mi pan powie, co się ze mną stało ostatniemi czasy? co za chmura stanęła nade mną?

— Czyś pan aby pewny, że to chmura? Czy to czasami nie słońce? A ten cień pod nogami, czy nie jest przypadkiem cieniem własnej osoby?

— To jest wyrocznia delficka.

— Powiem dalej jak Pytya: — jeśli w żabie serduszko wciśnie się uczucie wielkie, runie obiecująca karyera.

— Pan mnie chyba nie posądzasz?— Kunicki zakrył grymas czy też uśmiech łykiem wina.

— Posądzam, i to bardzo! — My wszyscy tak intensywnie dzisiaj kochamy! Wie coś o tem Lili i towarzyszki, te skarbonki naszych uczuć.

Kunicki zerwał się z miejsca, ale usiadł natychmiast. Ciężką głowę wsparł już nie na łokciu, lecz czołem na

stole. Próbował się roześmiać w obrus i nagle rozpłakał się cicho, rzewnie jak dziecko.

— Nie, — mówił potem, ocierając łzy kułakiem, — po coś pan we mnie wmawiał wino?.. Takie tęgie wino? Ja mam słabą głowę... Po coś pan ze mnie zrobił sobie małpę?..



Kunicki zaczął się wprost niepokoić o siebie. W kilka dni potem, po nieudanej operacyi, dostał spazmów wobec licznych świadków; — musiano go cucić. Operowano młodą czeską robotnicę z fabryki zapałek. Dziewczyna, wystraszona zapachem jodoformu i widokiem tylu mężczyzn w białych fartuchach i zakasanych rękawach, wpiła się jak rak w rękę Kunickiego. Wśród tych obcych ludzi z nim jedynie mogła się jako tako rozmówić. Uspokajał ją, jak umiał. Opowiadał, że jej krzywdy przecież nie zrobią; przeciwnie, dadzą piękną srebrną szczękę zamiast brzydkiej spróchniałej kości, że tego nikt potem nie spostrzeże, a każdy powie: „Ah jak wyładniała ta..-“

— Jak ci na imię?

— Mianuje se Zofie.

— No widzisz — Zochna...

Przyszedł profesor i, zanim nałożył maskę, pogłaskał ją po włosach.

— Patrz, jak ci do twarzy w białem. Potem będziesz się mogła nawet w lustrze obejrzeć... No, nie bać się, mała, — nie bać!...

Nic nie rozumiejąc, uśmiechnęła się do wszystkich, jak do rodzonych ojców. I wszyscy, ilu ich było, odpowiedzieli jej przyjaznem skinieniem głowy. Studenterya zaroiła się na amfiteatrze. — Kunicki miał pilnować pulsu tej ręki, która wczepiła mu się w dłoń. Głaskał tę skurczoną strachem dziecięcą rękę i szeptał wciąż:

— Nie bać się, Zochna, nie bać!...

W miarę jak zasypiała, uścisk palców stawał się coraz mniej kurczowy. Już się rozchylały zupełnie, gdy, w ostatniej chwili przytomności, uścisnęła mu rękę krótko i rozumnie: jakby dziękowała mu za dobroć i prosiła, by nie odchodził.

On baczył już tylko na jej puls, — o niej zapomniał niemal zupełnie. Naprzeciwko, trzymał asystent drugą rękę. Profesor operował przez głowę chorej. Na jej piersiach postawiono lustro i trzymano skośnie przed operatorem. Asystenci chwytali pensetami, niby ptaki dziobami, rozszczepione płaty skóry i rozciągali je na bok, oraz wycierali krew pękami waty. Było cicho. Słychać było tylko szczęk narzędzi, ludzkie oddechy i jakiś kaszel na amfitearze.

Po chwili Kunicki drgnął, — drgnął bezwiednie uprzedzającym instynktem niesłychanie czujnego zwierzęcia, jaki przy podobnej pracy i człowiek nawet zdobyć sobie musi. Rzucił bystre, pytające spojrzenie na asystenta naprzeciw. Ten już na niego patrzał. Obaj przenieśli wzrok na profesora. Ten już o wszystkiem wiedział. Już odkładał narzędzia, już wielką pensetą wyciągał chorej z gardła język, którym się dławiła. Nie pomogło to jednak. Zaroiło się przy stole. Pośród audytoryum znalazło się nawet zwierzę, które w tej chwili parsknęło śmiechem.

Przebito chorej gardło, by wywołać sztuczny oddech. Lecz i tracheotomia nie pomogła.

Co dalej było, Kunicki pamiętał zaledwie jak przez mgłę. Wiedział, co mu czynić należy. Podnosił naprzód jedno ramię chorej, potem dla ujednostajnienia ruchu wyrwał i drugie asystentowi. Podnosił je i opuszczał miarowo w ten równy takt, w jakim profesor uderzał w piersi chorej. Zamienił się w maszynę, — pracował bez wytchnienia — minuty, czy godziny! — tego nie pamiętał. Pompował wtedy jeszcze, gdy audytoryum opróżniło się zupełnie; podnosił i opuszczał bezwładne ramiona, gdy inni odeszli już od stołu; pracował i wtedy jeszcze, gdy ktoś złym i zniecierpliwionym ruchem kazał mu wreszcie zaprzestać. W końcu odepchnięto go niemal. — Przełożono ciało na wózek, narzucono na nie prześcieradło i odwieziono do trupiarni.

Obowiązkiem Kunickiego było przeliczyć narzędzia i zebrać je do wanienki siatkowej. Gdy się tem zabawiał, poczuł nagle zawrót głowy. Cofnął się do pierwszej ławki amfiteatru i osunął się na nią wcześniej, niźli siąść zamierzał. Ogromnie białe i łagodne światło zasnuło mu wszystko przed oczyma białą mgłą. Ktoś zblizka stojący usłyszał najwyraźniej, jak szeptał: „Nie bać się, Zochna,— nie bać!...“ Zachłysnął się, ujął za głowę i dostał najprawidłowszego spazmu.

— *Vapeurs!* — stawiał z francuzka łatwą dyagnozę jakiś student z głupia frant.

Ludzie byli mu wdzięczni za ten humor. Przy sztucznym nieco śmiechu załatwiono się bez trudności z bagatelną sprawą Kunickiego.

Już zdjął fartuch i nakładał mankiety, gdy wpadł jak bomba asystent i zawezwał go do profesora.

— Dobryś! — rzekł Kunicki. — Tym spazmem zarznąłem się na śmierć w jego oczach.

I z duszą w piętach wstępował do gabinetu.

Profesor zdążył również pozbyć się fartucha. Naokół nie było ani śladu odbytej przed chwilą operacyi. Siedział przy biurku i notował coś pośpiesznie. Ruchem złym i zniecierpliwionym wskazał mu krzesło.

— Ja tu już od kilku dni mam pana na oku. I dziś patrzyłem przed operacyą... Chociaż muszę przyznać, że jako lekarz sprawowałeś się pan nieźle.

Skończył pisać, położył z impetem pióro i zwrócił się wraz z krzesłem do Kunickiego.

— Ale co znaczą spazmy? Zkąd spazmy?.. Ja już zaczynałem pana szanować za „brak nerwów.“ Muszę panu powiedzieć, że upatrzyłem go sobie na asystenta. Więc mam zawód! — syknął... — Pozwolisz się pan zbadać?

— Ależ ja, dalibóg!...

— No, no, no!..

Zbadał, opukał, a nic nie znalazłszy, wzruszył ramionami.

— Masz pan jakie zmartwienia?

— To jest właściwie... konkretnych... Chyba żebym... jeszcze...

— Jeszcze?

Profesor, poprawiając okulary, zasłonił twarz dłonią.

— Radzę wyjechać na trzy tygodnie. Gdziebądź... Cygaro, panie Kunicki?...

— Dziękuję uprzejmie... Nadzieja asystentury...

— Nie o to idzie... Chciałem panu powiedzieć, że... Hm!

Wydął wargi, gładził długą brodę, wreszcie:

— Z małżeństwem nie należy nigdy zwlekać! — wypalił mu prosto w oczy.

Kunicki stanął jak w ogniu.

— Ależ... dalibóg!..

Ujął go za obie ręce, uścisnął i odprowadził do drzwi. „Ja umiem tylko radzić. Niedyskretnym być nie potrafię. Żegnam pana.“

Z wielkiem profesorskiem cygarem w ustach szedł zadumany przez ulicę. A że myśli były bardzo przykre, węzeł stawał się beznadziejnie zawiłym, więc — uczuł nagłą potrzebę napicia się czarnej kawy.

Gdy wracał do domu, gniewał go ścisk na ulicach, zmuszający do wolnych, ślimaczych prawie ruchów i bezcelowego oglądania obojętnych twarzy. Przy sposobności zauważył, że ten i ów, mijając go, uśmiechał się nieznacznie, jakby chcąc powiedzieć: „Oto idzie znowu jeden z tych, co to mają lekkiego fiołka w głowie.“ Uśmiechali się oczywiście komiwojażerzy, ci zawsze z siebie zadowoleni, „najnormalniejsi“ ludzie w mieście. „Ja wśród aniołów w niebie odróżnię chyba duszę, która na tym padole płaczu była komiwojażerem“, — zemścił się na nich myślą Kunicki. — „Swoją drogą, muszę być bardzo rozdrażniony, i wyglądam prawdopodobnie dziwacznie. Ach, ta kawa, to cygaro obrzydliwe!.. Zresztą, to jest jasne: rozdrażnienie wywołuje szybkie, gwałtowne, ostre ruchy, w tym tłumie ślamazarnym muszę wyglądać, oczywiście, jak mucha w pajęczynie.“

Gdy skręcił na swoją ulicę, ścisk uczynił się na chwilę jeszcze większy. Usłyszał za sobą cichy, krótki dzwonek. Ludzie się rozstępowali, dwie baby przyklękły nawet na trotoarze. Kunicki zdjął czapkę, co tu widocznie nie było we zwyczaju. Przechodzący tłusty jegomość znowu się uśmiecha z poczuciem wyższości solidnego człowieka, któremu interesa dobrze idą. „Ty, bydlę nizkie!“ — myśli Kunicki i, korzystając z wolnego miejsca za księdzem, postępuje tuż za nim. — Ludzie najwyraźniej przypuszczają, że to on księdza do kogoś sprowadza. Jakaś baba podbiegła nawet, by zagadnąć, do kogo.

„Ja muszę mieć ładną minę, jeśli pasuję nawet do takiego rodzajowego obrazka.

„Ależ traf szczególny, żeby akurat do mego domu szli... I na schody moje... Co, u dyabła!.. Czyżby na drugiem?.. Trzecie!..

„Baba!.. Oczywiście baba. Ale cóżby jej tak nagle? Z czego?

„A co? — dzwonią...“

Otworzył obcy człowiek w mundurze warty sanitarnej. Kunicki zaniepokoił się już poważnie. Ksiądz pyta, do kogo. Kunicki, stojąc o pół piętra niżej, nadstawia uszu. Tymczasem nie chce mieszać się do niczego. Poczeka.

— Do młodego pana, — brzmiała odpowiedź.

„Co!?“

— Kto taki? — pyta ksiądz.

— Student.

Kunicki chce w pierwszej chwili krzyknąć przeraźliwie. Ale się słania, za poręcz chwyta i ściska ją z całych sił. Lewą dłonią po ciele wodzi, szarpie spotniałe włosy, szczypie się w wargę. — „Nie, ja przecież nie śpię. U Boga, — co to jest!? Co to wszystko znaczy?“ Chłopak kościelny zadzwonił raz: cicho, króciutko, jakby przez nieostrożność.

— Niech będzie pochwalony, — obcy, cichy, zapłakany głos, gdzieś w głębi korytarza.

— Na wieki.

Ktoś klęka tam w głębi korytarza. Szlocha. Jak strasznie szlocha!

— Wypadek? — pyta ksiądz człowieka w czapce z odwachu sanitarnego. — Przytomny?

— Bardzo mało, — szepcze ktoś basem. — Samobójstwo.

Ksiądz cofa się od progu.

Wypada młoda kobieta z głębi i buch! księdzu do nóg. „Jak ona strasznie upadła!“ I szlocha. „Chryste, jak ona szlocha!“

Kunicki puszcza poręcz schodów. Pręży się jak struna, zaciska pięście kurczowo. Nie da się halucynacyi. Nie da się nawet obłędowi, jeśli to jest obłęd! On tu jest, — nie tam!.. Nie da się. Woli ma jeszcze trochę.

Zimny pot strugami zlewa mu twarz.

Przeskakując po kilka stopni, pędzi na dół. Instynkt zachowawczy woła w nim bezładnie: „Dorożka. Z powrotem do profesora. Szpital. Osobny pokój... I cisza, cisza wielka. Z początku morfina, a potem cisza i spokój tylko... Musi przejść... Aby tylko dorożka!“

Wyskoczył z bramy aż na środek ulicy. I tu się dopiero obejrzał. W imię Ojca, Syna i Ducha!.. Numer 38-y.

O dwa domy za daleko!

Otarł chustką pot z twarzy, poprawił kapelusz, zapiął palto i, zagryzając wargi, aby się nie trzęsły, zawrócił pod numer 34-y. Obejrzał swój dom uważnie i porównał go z tamtym. Podobne oczywiście jak bliźniaki, a jednak trzeba być bardzo roztargnionym. „Oj, ta czarna kawa, to cygaro!“

W domu zastał swą gospodynię w niesłychanem podnieceniu.

— Wypadek był w sąsiedztwie, — wołała od proga, a raczej wymlaskała z prawdziwym smakiem.

— Wiem.

W myśli zaś dodał: „Chwała Bogu, rzeczywistość! Konkretny, policyjny fakt, entuzyazmujący wszystkie kucharki w całej dzielnicy. — Ależ napatrzyłem się dziś rozkoszy miejskich. I to mnie tak niesłychanie rozdrażniło.“

Zmaczał głowę i piersi, natarł skronie wodą kolońską i postanowił natychmiast posłać do apteki. Wyrwał więc kartkę z notatnika i pisał pedantycznie:

Natri brom 3,0
Kali brom 2,0
Amon . . . . . .
. . . .

Zastukano do drzwi. „Oczywiście, baba z plotkami.“

— Przed trzema godzinami, natychmiast po wyjściu pana doktora, zachodziła tu jedna pani.

Kunickiemu wydało się, że w tej chwili ktoś go pięścią w ciemię uderzył.

— Z tej kamienicy pewno? Po poradę? — pytał mimo to z niedołężną jakąś chytrością i jakby chcąc oszukać samego siebie, odwrócić fakt, zagadać rzeczywistość.

— Nie. Nazywa się — zostawiła bilet — nazywa się Zofia Borowska.

Kunicki uczuł, jakby po raz drugi, mocne uderzenie w ciemię. Powstał z miejsca powoli, sztywno. Oparł się tyłem o biurko, chciał coś powiedzieć, ale głosu mu zabrakło. Zwiesił więc głowę i milczał. „Jak ta szelma ropucha musi patrzeć na mnie w tej chwili!“

— Pani przyszła zapytać, czemu pan doktór do państwa Borowskich wcale nie zachodzi. Oboje z mężem są niespokojni, czy pan doktór nie chory. Pani bardzo rozpytywała o pana doktora... Niech mi pan za złe nie weźmie, ale ja się przy niej wstydziłam poprostu mej brzydoty. Jakaż ładna! jaka świeża!..

— Dosyć!

— Prosiła, żeby pan doktór nie zapominał. Trzy razy to powtórzyła. Pani przyniosła ze sobą wiązankę kwiatów, myśląc, że pan doktór jest chory. Wejść nie chciała. Rozmawiała ze mną przez próg. Prosiłam bardzo, żeby zostawiła i zdrowemu. Mówiłam, że pan doktór zawsze taki samotny, że kobiet nigdy...

— Dosyć!

Baba położyła ostrożnie garść kwiatów na najbliższem krześle i zamknęła cicho drzwi za sobą.

Kunicki wciąż jeszcze stał nieruchomo przy biurku. Po chwili dopiero sięgnął po receptę i począł ją drzeć na drobne kawałki. Podjął machinalnie jakąś książkę ze stołu, ustawił ją pedantycznie na etażerce, zbliżył się wreszcie wolno do wiązanki kwiatów, powąchał, znalazł się blizko kanapy i osunął na nią. Z kwiatami przy ustach, pod twarzą, zamiast poduszki. Miał wrażenie, że jakaś potężna dłoń wciska mu twarz w te kwiaty. „Patrz, patrz, gnuśny i uparty!“

W głowie miał jedną tylko myśl: „A jednak: — dokonało się!...“



(Ciąg dalszy). Wacław Berent.

PIEŚNI SZALEŃCA.

PRZEDWCZEŚNIE...

Nie zwierzę mego miecza ramionom szaleńca,
By nie stał się narzędziem człowieczej męczarni...
Nie rzucę w żary ognia wątłego róż wieńca,
Bo kwiaty blade żyją pieszczotą cieplarni...

Niech się, o duszo moja, płacz twój nie użala...
Kocham szalonych, lecz im odbieram miecz ostry...
Kocham ogień, choć strzechy swą pożogą spala,
Ale całować żary wzbraniam ustom siostry...

Miecz krwią się nie nasyci, gdy jedną pierś zmoże,
A wytoczyć ocean krwi my dziś pospołu
Za słabi jeszcze... Kwiecie me w płomieniach zgorze,
A czem dla ich łakomej żądzy garść popiołu?

Nie dam ci, duszo, mojej myśli obosiecznej
I żarom twoim nie dam wątłych snów mych wieńca...
Nie rzucę kwiatów w ogni twych szał niebezpieczny
I nie powierzę miecza ramionom szaleńca...

PRAWDA.

Śmiałem się, za kochanki swej idąc pogrzebem,
A płakałem, jarmarcznych błaznów widząc skoki,
Zabiłem dziecko, które darzyło mnie chlebem,
A zbójcy umknąć z kaźni pomogłem głębokiej.

Wśród strasznej nocy blady zgasiłem kaganek,
Chcąc poznać tajnie, które kryje mroków głusza,
A zaświeciłem świecę w jasny złoty ranek,
Bo samej siebie znaleźć nie mogła ma dusza...

A wyście mnie szaleńcem nazwali i w chacie
Zamknęli ciemnej, ręce włożywszy w okowy...
O, czemuż mi szalonym być nie pozwalacie!
Wszakże ja nie złorzeczę nikomu, że zdrowy...

Tajnia życia wam inne, jak mnie, słowa zwierza,
Lecz ludzi wszystkich... Mnie ni wam swojej prawdziwej
Treści nie zdradza... Czemuż więc wasz gniew uderza
Szaleństwo moje?.. Wszakżem ja zdrowym nie krzywy...

MIŁOŚĆ.

Pójdziem, kochanko moja, w życie pełne grozy,
Bo nas nierozerwalna złączyła obroża.
Lecz ty wiedzieć nie będziesz, że kryję powrozy
Na ciebie, a ja w dłoni twej nie ujrzę noża.

Pójdziem pewni, że dusze wybrały się młode
I wolne... Nie przeczuje nasza myśl bezwiedna,
Że ja groźbą powrozów ze sobą cię wiodę
I że mnie z tobą noża grożący cios jedna...

Na Boga! Byle tylko nie milczeć ni chwilę!
Mówmy o kwiatach, gwiazdy wplatajmy w słów wieńce,
Bo gdy milczym, myśl nasza grzebie pilnie w pyle
I jak szpieg przenikliwy patrzy nam na ręce...

Tylko nie milczmy!.. Przejdziem życie nieświadomi,
Że nas strach i nienawiść łączy jak obroża...
Ty nie przeczujesz, że cię lęk powrozów gromi,
Ani ja nie przeczuję w twojej dłoni noża...

SZCZĘŚCIE.

Nie będę pił już nigdy wody z mojej studni...
Niegdyś chłodziła spiekłe gorące me usta...
Nie będę pił z niej nigdy... Nie przeto że pusta...
Trup siny leży na dnie mojej chłodnej studni...

Nie będę nigdy więcej nocował w mej chacie...
Gdym ją opuszczał wczoraj, został w niej ktoś drogi...
Teraz strach mi zabrania powrócić w te progi...
Dzisiaj w nocy śmierć w mojej nocowała chacie...

Chodziłem spraszać druhów mych w szacie odświętnej
Na me wesele, choć mi samemu najtrudniej
Było wierzyć, że szczęściem mój dom się zaludni...
Nie wierzyłem, choć w szacie-m ich spraszał odświętnej...

Bo w głąb otchłannych bezdni nawet wśród południ
Złotych nie wpada słońce w blasków majestacie...
Dzisiaj w nocy śmierć w mojej nocowała chacie...
Trup siny leży na dnie mojej chłodnej studni...

UROKI...

Dziwnie się coś popsuło w moim ciemnym młynie,
Że mi najdroższe ziarno mle na popiół szary,
Odkąd me zboże idzie na chleby dziewczynie,
Którą omija nawet pies-włóczęga stary...

Krzyczano, że się tarza w plugawej rozpuście...
Cóż jam winien, żem musiał ukochać wszeteczną?..
Matka ma zmarła z żalu... O, ludzie odpuśćcie!..
Wszyscy pomrzemy.. Daj jej, Panie, światłość wieczną...

O, dziwne, że mi tylko popiół młyn mój sypie,
A głód mój i dziewczyny mej płacz woła chleba!..
Ostatni kęs spożyłem na mej matki stypie...
Snać klątwę na stodoły me rzuciły nieba...

...Dziś nocą skradłem zboże z braterskich spichlerzy...
Nie rzucę mej dziewczyny dla zbłagania kary...
Tam w chacie, blada głodem, obłąkana leży,
A młyn skradzione zboże mle na popiół szary...

CHWILA.

Oblubienica ślubną zdejmuje zasłonę,
Czeka na pocałunek mój i obietnicę
Pieszczot... O, że mi w takiej chwili przeznaczone
Wprowadzić sny dziewicze w małżeńską łożnicę...

O, w takiej chwili witać mam oblubienicę!
Oto zdejmuje białą swą zasłonę ślubną...
I czeka, abym z siebie zrzucił tajemnicę...
Na Boga! Powstrzymajcie chwilę dla niej zgubną!..

Oblubienica ślubną zdejmuje zasłonę...
O, pozwólcie mi z ramion zdjąć mój kir!.. Jak trudno...
Zda się, że zrósł się ze mną... Jam rany czerwone
Skrywał nim... Z grzechów zszyłem tę szatę ułudną...

Chwila nadchodzi... Witać mam oblubienicę...
Na Boga powstrzymajcie chwilę dla niej zgubną...
Ona skona ujrzawszy duszę-upiorzycę...
...Oblubienica zrzuca swą zasłonę ślubną...

SUMIENIE.

Rzuciłem jedną dziewkę, bo-m wszystkie rozkosze
Już wyssał z niej, a oto ta druga mą żądzę
Zażegła, i ją w moje prowadzę wrzeciądze,
I jej pocałunkami krzyk sumienia spłoszę...

Bo wczoraj, gdym tkał sobie weselne okrycie
Z ostatniej pozostałej mi przędzy konopnej,
Wpadła tamta, wzgardzona, w bladości okropnej,
I wszystkie na warsztacie mym stargała nicie...

Wściekły, zabiłem dziewkę, z jej złotych warkoczy
Utkałem sobie szatę i w niej dziś przy uczcie
Weselnej siedzę... Kto mi przypomniał jej oczy!!?
Kto dusi mnie!! Na Boga, szatę ze mnie zwłóczcie!..

Włókna szaty ożyły! Każdy włos, jak żmija,
Ściska się w koło szyi mojej! Jak pętlica...
Tysiąc żmij wkoło ciała mego się owija...
Każdy włos martwy mści się... Śmierć, śmierć trupiolica!..

KLĘSKA.

Czekam... wszystko rozstrzygnąć musi się dziś jeszcze...
Trzy blade, chore siostry me przy świecy siedzą...
Nie widzą mej bladości... o niczem nie wiedzą...
Nagle jedna „Śmierć“ szepnie... i zbiegły mnie dreszcze...

Zgasło światło... Rozpękły drzwi... Trzy czarne mnichy
Wnoszą trzy trumny... Siłą siostry me w nie kładą...
Trzech drugich wchodzi... Wloką trzy krzyże i w bladą
Dłoń krzyż wciskają każdej, przerażeniem cichej...

Siostry szepcą konania modlitwę... Jak chusta
Każda biała... Ja w kącie łkam czarnemi smutki...
I znów trzy mnichy... Gliny przynoszą trzy grudki...
Każdej siostrze na oczy dwie... Trzecią na usta...

I nagle zmilkły modły... Mroki czarne, grube
Padły na moje oczy... O, straszne się stało
Nieszczęście! Biada!.. Wszystko rozstrzygnąć się miało
Dzisiaj — i rozstrzygnęło się na moją zgubę!..

UPIÓR.

Oni śpią w cichych izbach, spokojni jak wczora,
A ja biadam i serce mi młotem się tłucze,
Bo dziś wieczór zamknąłem świątynię — i klucze
Z nieostrożnej mej dłoni wpadły w głąb jeziora...

Skroń swą ustroję liściem ogromnem łopucha,
Twarz natrę sobie mąką, aby była blada,
Ściągnę płaszcz wystrzępiony z żebraczego dziada
I pójdę między ludzi w świat... udawać ducha...

Wiatr mi podarty łachman wydmie, niby skrzydło
Nietoperza... W milczeniu północy ponurem
Będę pod ciche chaty skradał się, kosturem
Bijąc w uśpione okna, jak trupie straszydło...

Przerażę ich! Niech wyją i krzyczą na trwogę,
Bylem zgłuszył swe serce, co tłucze się młotem...
Niech ich skroń także zwilży się śmiertelnym potem!..
Niech nie śpią tak spokojnie, gdy ja spać nie mogę...

UCIECZKA.

Po com ja pytał ciągle?.. Byłem sobie wrogiem!..
Niegdyś, tęskniąc wśród nocy za ciszy wezgłowiem,
Drżałem obawą trwożną, czy, kiedy za progiem
Śmierci stanę, o prawdzie pragnionej się dowiem...

A dziś mi blada mara niesie rozwiązanie...
O, zamykajcie okna i drzwi na sto rygli!..
Po co ja na swą zgubę rzucałem pytanie!..
Teraz mnie w mej siedzibie wrogowie dościgli!..

Otoczcie dom mój rowem! Usypcie okopy!..
Wydzieram sobie oczy, by nie widzieć mary!..
Przebóg! Pod oknem cichy krok zdradzieckiej stopy...
Biję w mur skronią, aby słuch zgłuszyć na gwary...

Kto mnie dotyka dłonią lodową!.. Kto wrota
Wyłamał!.. Nic nie słyszę... wzrok cięży ołowiem...
Przywiążcie głaz do szyi... skoczę... tam martwota
W głębi wody... A jeśli... tam o tem się... dowiem...



Leopold Staff.



Żałosna historya o pękniętem, porcelanowem sercu japońskiem.

Opowiedziana dla:
Hality Lutosławskiej.

Straszna to była noc — paryska, grudniowa noc...

Deszcz padał, padał, padał — — —

Bulwary były puste, oslizgłe i poczerniałe od wody, a nieskończone szeregi nagich drzew, trzęsły się z zimna i jęczały cicho a boleśnie — bo deszcz je przemaczał do korzeni, bo mroźny wiatr je przewiewał nawskroś, bo oślepiały te, jakby w powietrzu zawieszone, światła elektryczne — a zabijała tęsknota za dniem...

A ta rozmiękła, zimna noc wlekła się tak wolno, tak wolno...

A ten utęskniony dzień był tak rozpaczliwie daleko.

O biedne drzewa marznące!

O biedne psy bezdomne, które przemykały cicho pod zimnemi ścianami, czołgały się na rogach ulic oświetlonych, przystawały, rozglądały się krwawem, przemęczo-

nem spojrzeniem — i głodne, oszalałe trwogą biegły dalej, szukały bez końca...

O niezgłębione, nieopowiedziane tęsknoty nocy zimowych za słońcem!

O rozpaczne krzyki konającego wczoraj! —

O! niepojęte jawy jutra, lęgnącego się jeszcze w bezdniach nocy —

I cisza!... cisza przyczajonej trwogi, cisza ciemnych błyskawic żerujących w przestrzeniach —



A potem nieodgadnione głosy wichru, jaki nagle zerwał się z legowisk nocy i spadł na miasto, szarpał drzewami, tarzał się po rozmiękłych przegniłych ciemnościach i bił zaciekle zimnem, miękkiem cielskiem w olbrzymią wystawę słabo rozświetloną.

Tam, po za tą szklaną ścianą stała Komurasaki i wylękłemi, słodkiemi oczyma patrzyła...

A deszcz mżył nieustannie i grubemi łzami spływał po szkle; a wiatr szalał, śpiewał wabiąco, to krzyczał dziko i groźnie, to chwytał za czuby drzew i groził niemi Komurasaki, to znowu łkał i skomlał cicho a żałośnie, lizał szyby i żebrał o wpuszczenie; a za nim zaglądała zielonawa, okropna noc i patrzyła wilgotnemi oczyma, i te łzy jej szare, zimne ściekały zwolna a ciągle i bezustannie... a w jej głębi, tam po za krzyczącemi z zimna drzewami, widziała Komurasaki straszne, przerażające jawy: — olbrzymie zwierzęta przesuwały się śród cieni, pełzały cicho oczy oślepiające błyskawicami... to jakieś czarne, połyskliwe potwory przebiegały tak ciężko, aż drżała szyba olbrzymia, i w rozchwianem, błękitnawem świetle elektrycznem poruszał się

trwożnie cały ten tłum bogów i ludzi, zapełniający ciżbą marmurów, bronzów i porcelan — wystawę.

Ale po chwili zapadała cisza i znowu zasypiało i nikło wszystko.



Komurasaki tylko czuwała.

W środku wystawy, na podwyższeniu, niby na tronie męki, pokrytym żółtą materyą chińską zahaftowaną czerwonemi smokami, stała Komurasaki — kwitła w mroku niby czarowna a bolesna orchidea — obok niej, z prawej strony wyrastał, smukły jak Narcyz, Antinous z bronzu jasnego, a z lewej, obnażała się w boskim bezwstydzie Venus Callipyge, tak biała, że aż złotawo-różana, jakby utkana z promieni słońca i woni róż purpurowych — a po za niemi majaczyła cała gęstwa ciał, stróżowana przez twarde, sępie głowy cezarów i prokonsulów...

Komurasaki czuwała — a raczej męka trwóg, strachu, osamotnienia paliła się w niej wiecznie czujnym i gryzącym płomieniem; bała się tych wizyj mrocznych, przemykających za szybą, bała się tych nocy nieskończonych i tak zimnych, bała się tego tłumu stojącego za nią, bała się tej twarzy bladej o ognistych oczach, która co wieczór stawała z tamtej strony i, rozpłaszczona na szkle, patrzyła na nią, pożerała ją oczyma...

Czuła się w pośrodku przerażającego chaosu rzeczy nieznanych i strasznych, a ta okropna, zła rzeczywistość otaczająca ją miała już dręczącą siłę snu, który trwał wciąż, snu, z którego przebudzić się nie mogła, nie miała sił —

I czuła się tak samą, tak obcą, tak sierocą i tak smutną, że już jej nie przerażał ten olbrzymi tygrys bengalski, który, niedaleko niej, wyprężył grzbiet pręgowany, patrzył krwawym, głodnym wzrokiem, szczerzył ostre kły i czaił się... pełzał ku niej... i był bliżej... coraz bliżej...

A Komurasaki, pełna męki nieopowiedzianej, zgrozy, tęsknoty i rozpaczy, uciekała myślami do ojczyzny dalekiej, dalekiej...

.....i łkała pieśń tęsknoty ustami rozpaczy...

.....i łkała hymn nadziei sercem pełnem śmierci...

...O ziemio moja słoneczna!



Wiśniowe sady stoją w kwiatach, różane, wonne płomienie tryskają wśród liści zielonych, i słońce gra na nich, a motyle tęczą barw, tęczą ametystów, opali, rubinów owiewają je chmurą, wirują, roją się... a pszczoły płyną cicho, brzęcząc pieśń miodną, a strumyki szemrzą po piasku złotym, szemrzą...

...O ziemio moja słoneczna!

Widzę Cię. Czuję Cię. Jestem z Tobą...



Oto wietrzyk nadbiegł od gór sinych, oto wiśniowe drzewa trzęsą kwietnemi kędziorami, a tęcza motyli rozpierzcha się! Jak lecą z drzew płatki różane, jak wirują... jak chwieją się na źdźbłach, jak padają na strumień i płyną!.. Płyną jak łzy moje, jak łzy tęsknoty nieutulonej...

Cień się położył na świerk! Zamilkły ptaki. Zasłuchały się kwiaty, przycichły strumyki, a pierzaste bambusy zapatrzyły się w toń, w czerwone rybki przyczajone na dnie złotem...

...to mój żal płynie z tym cieniem, mój żal, mój żal!...

.....i tęsknota moja i żal! —

...O ziemio moja słoneczna!

Domu mój rodzinny! O siostry moje kwiaty, o bracia moi ptacy, o ziemio matko moja! Dusza moja jest cieniem tęsknoty za wami!

Umieram!

I jak motyl żałobny usiądę na złoconych belkach domu mojego —

...nie spędzajcie go!

...i jak wiśnia dojrzała spadnę na niebieski próg domu mojego —

...nie rzucajcie mnie złym dziobom.

...i jak liliowy chryzantem zakwitnę przed oknami domu mojego —

...nie zrywajcie mnie!

Niechaj okwitnę w ziemi mojej, w oczach waszych niechaj uwiędnę, niechaj nasz wiatr mnie rozwieje w jesieni dniach i rzuci na pierś waszą — a spalą mnie łzy wasze...

— i tęsknota...

— i żal!

Tak łkała Komurasaki pieśń tęsknoty ustami rozpaczy.

A noc płakała za szybami, tylko już ciszej, bo świt nadchodził, a wiatr konał wyczerpany walką, czasem uderzył jeszcze miękkiem bezsilnem skrzydłem w okno, czasem jęknął i zatargał drzewami, i padał przeszywany strzałami świtu miażdżącego noc.

Komurasaki umilkła, bo elektryczne światło zgasło, szary, zimny świt zalał wystawę i ta barbarzyńska ciżba budzić się zaczynała, a ona, otulona we fioletową suknię usianą złotemi chryzantemami, w złotych sandałach na nóżkach, przysłaniała się lekko wachlarzem, kryjąc łzy w czarnych, cudnych oczach i rosnącą obawę przed tym dzikim, strasznym tłumem zalegającym wystawę.

Dzień się czynił wolno, ale w zielonawych, wilgotnych brzaskach coraz wyraźniejsze były głowy, ramiona potężne, to sępie okrutne oczy rzymian, to wyzywające źrenice bachantek, to gwałtowne dzikie ruchy walczących gladyatorów, albo dziwne, somnambulicznie zapatrzone bóstwa egipskie.



Bała się tego tłumu, czuła jego nienawiść do siebie i sama pogardzała całą mocą swej kwietnej duszy tymi barbarzyńcami. Miała niepokonany wstręt do ich twarzy twardych, do ich póz rubasznych, ruchów dzikich, spojrzeń okrutnych, chichotów przebrzydłych — do całej tej rasy białych bydląt.

A oni jednoczyli się wszyscy w nienawiści dla tej cudnej, dla tego kwiatu japońskiego; Rzymianie i Grecy, barbarzyńcy i Cezarowie, bogowie i bydlęta ludzkie, różowe margrabiny z czasów Ludwika XV i chińscy mandaryni — wszyscy się łączyli przeciwko Komurasaki w zwartą ligę szydzących, w tłum nienawiści przeciwko niej, przeciwko jej królowaniu, przeciwko jej piękności, przeciwko ej rasie.



Tylko jeden Antinous nie brał udziału w tem sprzysiężeniu, stał obok, tęskny, dziwny, z pochyloną nieco głową, jak kwiat rozwinięty i zadumany; jego boskie ciało, z jasnego, bursztynowej barwy bronzu, kwitło czarem, dyszało, jakby piżmem, szlachetnością linii i spokojem. Czasem spoglądał na nią tym dziwnym, słodkim a niepokojącym wzrokiem duszy roślinnej, wzrokiem wód lub kwiatów.

A wtedy Komurasaki czuła dziwną tkliwość w swojem porcelanowem sercu, dziwne zamieranie, i czarowne zamyślenia niby roje motyli obsiadały jej duszę zmęczoną; ustępowały trwogi, milkła na chwilę tęsknota, a uśmiech promienny, uśmiech wiosennego poranku kwitł

na jej drobnych, czarownych usteczkach, i radość kwiatów, otwierających kielichy pod pocałunkami słońca, przenikała jej złotawe ciało...

Czasem tylko spoglądał na nią, bo częściej patrzył na Venus Callipyge, stojącą z drugiej strony, obnażającą się boskim ruchem bezwstydu, i tak piękną, tak potężną w swojej nagości, tak lubieżnie przechyloną, że nawet sępie oczy Cezarów mgliły się żądzą.

I wtedy ciche łzy bólu i wstydu niewytłómaczonego zalewały serce Komurasaki, i głębiej jeszcze czuła swoje osamotnienie.

A Venus nie patrzyła na nią nigdy, nie istniała dla niej ta drobna, porcelanowa figurka Japonki, nie istniała dla niej ta cudna, żółtawa twarz o przesubtelnym rysunku, ani jej oczy skośne a słodkie jak promienie wiosenne, a patrzące tak bojaźliwie i cicho, jak leśne kwiaty pod dębami, ani jej różane jutrzenkowe usta, ani jej szaty królewskiego przepychu, ani jej czarne włosy przetykane perłami, upięte wysoko — nie, Venus widziała tylko nagość swoją i Antinousa.

I ta jej niema, bezoczna pogarda najciężej bolała Komurasaki.



Wiedział o tem tylko ten stary, obrzydliwy Chińczyk, który siedział w samej głębi wystawy, na podwyższeniu, patrzył przymrużonemi ironią oczyma, kiwał wiecznie głową i uśmiechał się drwiąco.

A gdy dzień rozkwitł już zupełnie, gdy słońce przedarło się przez gąszcze nagich gałęzi i zalało wystawę — ożyły marmury, bronzy i porcelany...

Życie buchnęło ze wszystkich ciał i falą spojrzeń, ruchów, głosów płynęło po roziskrzonych ławicach światła.

— Gracye tuliły się do siebie w ekstazie słonecznego hymnu;

— Gladyatorzy walczyli zacieklej, ich pogięte ciała prężyły się nienawiścią, dyszały wysiłkiem;

— Dyskobole rzucali dyski z taką mocą, że ostry świst przelatujących kręgów przecinał powietrze;

— Marmurowa kwadryga porywana przez rozszalałe rumaki leciała po słonecznym promieniu;

— Satyr z Lateranu tańczył z takiem upojeniem, że ciało jego drgało i skrzyło się w słońcu jak woda;

— Faun porywał bachantkę, tulił ją lubieżnym ruchem i gnał ze śmiechem tam... w gąszcze leśne;

— Dyana sięgała po strzały i powstrzymywała sforę rwącą się gwałtownie;

— Tancerki z Chios, ująwszy się za ręce, szalały w tańcu bachicznym;

— Merkury płynął słonecznym szlakiem;

— Zeus spoglądał chmurnie na Prozerpinę tonącą w gąszczu Panów i Faunów; —

— Margrabiny spoglądały słodko na wykwintnych, pogiętych w ukłonach kawalerów;

— A lwy numidyjskie, tygrysy bengalskie czołgały się i ryczały straszliwie — — —

.....i krzyk zatrząsł ciżbą, śmiechy, śpiewy, wołania, szaleństwo, nadmiar życia wytryskał z tych ciał nagich, promieniował i bił ku słońcu hymnem potęgi; mgła upojenia przesłaniała oczy, radość istnienia, życie samo zataczało szalony chorowód — — —

.....tylko stary, obrzydły Chińczyk kiwał wciąż głową i uśmiechał się złośliwie...

.....tylko głowy Cezarów patrzyły wciąż sępim, drapieżnym wzrokiem...

.....tylko Komurasaki milczała, trwogi pełna i znużenia...



Och! bała się tych dni słonecznych — bo wtedy szaleli, wymyślali najstraszniejsze dla niej udręczenia — raz, namówili woźnicę kwadrygi, żeby ją przejechał, i kwadryga dnie całe, może lata całe, zsuwała się zwolna po pochyłej wystawie... aż dnia pewnego przeleciała po niej jak wicher, przebiła szybę i padła na trotuar!

Ale Komurasaki, cudem jakimś ocalała, odłamał jej się tylko wachlarz, który przyklejono natychmiast.

To znowu rzucali na nią pijane, cuchnące winem bachantki... to szczuli ją psami Dyany, lub podrażniali na nią lwy... Ocalał ją zawsze ten straszny, o pięciu cienkich głowach, potwór, który wychylał się z za jedwabnych zasłon oddzielających wystawę od sklepu, chwytał nieprzyjaciela, obwijał go sobą i porywał...

Milkły wtedy głosy, trwoga biła w sercach, bo ilekroć zjawił się ten potwór, wtedy ginął na wieki któryś z Bogów czy ludzi, — i, już go nigdy nie oglądały oczy marmurów, bronzów i porcelan...

Zapominali wtedy o Komurasaki, zapominali o tańcach, bijatykach, śpiewach, i obumarli z lęku czekali ciosu przez chwilę — przez krótką chwilę — bo te ruchliwe jak strumienie dusze, te dusze boskich ciał, nie pamiętały wczoraj i nie dbały o jutro — żyły blaskami słońca i razem z niemi przepadały.

Ale Komurasaki pamiętała, i, z tragicznym lękiem, nasłuchiwała coraz częściej chrzęstu zasłony jedwabnej,

i z grozą niewysłowną czekała, aż i po nią wyciągną się głowy potworu... obwiną ją sobą i rzucą...



Gdzie?... Gdzie?... pytała napróżno, pełna udręczenia.

I pewnego dnia szepnął za zasłoną głos podobny gromom:

— Komurasaki! Ależ to arcydzieło, to cud!...

Przymknęła oczy z bólu, bo głos ten przeszył ją nawskroś i rozhuczał się w niej jak pogrzebowe tamtamy— ale tego dnia nie wychylił się jeszcze po nią pięciogłowy potwór, tylko wieczorem, dłużej niż zwykle, patrzyła na nią przez szyby blada twarz i pożerała ją, wypijała płomiennemi oczyma...

Komurasaki widziała dokoła otchłanie, przerażające otchłanie nicości...

I niczem się jej wydały dotychczasowe cierpienia — niczem tęsknota, niczem zniewagi i szyderstwa barbarzyńców, niczem samotność, niczem łzy i udręczenia — wobec strasznej pewności, że potwór się wychyli, porwie ją i rzuci w nicość...

Nie płakała już, bo wicher trwogi śmiertelnej wysuszył źródło łez; nie krzyczała — czując, iż nicość nie odpowie echem; stała zatopiona w niemym krzyku, w gorzkiem strasznie czuciu, że niema ratunku i niema miłosierdzia — —

I umarła już prawie przed śmiercią, gdy Antinous spojrzał na nią i patrzył długo, i tak dziwnie, tak słodko



wgrążały się w nią oczy jego, że poczuła w sercu drgnienie jakieś, jakby poczynającej się nadziei, jakby zorzanych świtów dnia jakiegoś...

Ach, te oczy, słodkie a palące te oczy zapadły w nią, na samo dno duszy, i rozpalały na nowo szaloną, aż dziką żądzę życia. —

A gdy znowu nadeszła zimna i posępna noc, gdy szydercza wrzawa przycichła zgaszona przez ciemność i monotonne chlupotanie deszczów, — tęsknota ogarnęła wszystkich i jak płomień żarła te marmurowe, bronzowe i porcelanowe serca; podniósł się cichy, przejmujący, żałosny chór jęków, i łkań, i modlitw.

Dyana śpiewała łzawą pieśń o gajach świętych, o pluskach źródeł przeczystych, o Grecyi, o wolności, o słońcu —

A tłum bogów i ludzi wtórował jej jękiem, płaczem i żałością. —

O, wtedy Komurasaki porwała się w sobie i wybuchnęła.

Pochyliła słodką twarz ku Antinousowi i zaśpiewała krótką a rozpaczliwą pieśń — żebrzącą pieśń miłości — konającego istnienia pieśń —

— — O weź mnie, otocz ramionami potęgi, ukryj na piersi swojej i nie daj mnie śmierci...

Kocham Cię i chcę żyć.

— — O weź mnie, bo boję się sama, bo noc pełza, bo śmierć wyciąga straszne szpony po mnie, bo już czuję jej oddech straszny...

Kocham Cię i chcę żyć!

Chcę żyć!
Choćby życiem robaka, choćby ży-
[ciem rośliny —
Chcę żyć, chcę żyć! —
Kocham Cię!
Noc mnie wypija, śmierć mnie okręca
czarnemi skrzydły, ginę, przepadam — —
Zbaw mnie...
Kocham Cię!...

Ale Antinous nie słuchał, rozmarzał się wspomnieniami, może o Aleksandryi ojczystej, może o Hadryanie...



Oprzytomniała, była jakby w świątyni pełnej bóstw egipskich i hinduskich, olbrzymi Budda siedział w pośrodku i błogosławiący gest czynił nad światem, a blada twarz pożerała ją oczyma i pocałunkami.

Nie umarła Komurasaki, ale konała z tęsknoty — o, tak! tęskniła za Antinousem, tęskniła tak bezbrzeżnie, że jej zbolała twarz poczerniała z męki, oczy przygasły, zalane łzami niewypłakanemi, kąty ust zgorzkniały, ścierpły, zbrzydła —



Spostrzegły to płonące oczy bladej twarzy — spostrzegły i płakały.

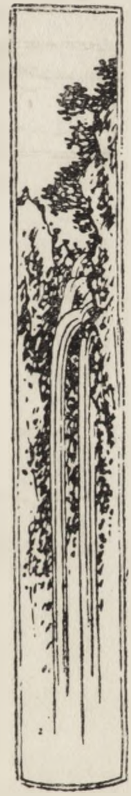
— Nie kocham cię, Komurasaki.

Wiem teraz, że to nie ciebie kochałem. Marzyłem o tobie — ale to nie ty jeszcze, nie ty —

I płakał przed nią; płakał rozpaczą zawodu; płakał łzami tęsknoty do tej wyśnionej, do utęsknionej — do tej, która była w nim — ale może nie istniała nigdzie...

I żeby utulić swój smutek, odniósł Komurasaki do sklepu.

Ożyła Komurasaki, miała ujrzeć jego, Antinousa, szczęście swoje, ucieczkę, zbawienie jedyne. Rozpromieniła się i zajaśniała taką pięknością rozradowania, że blada twarz spojrzała na nią zdumiona.



— Jakaś ty piękna! Nie, nie — bronił się — to miłość moja, to tęsknota moja, widzi cię piękną — ale ty nie jesteś moją miłością, ty nie jesteś nią...

A Komurasaki szalała ze szczęścia. Dusza jej wezbrała jak potok wiosenny, rozkwitła jak łąki, rozśpiewała się miłością, szczęściem zmartwychwstania!

— Idę do Ciebie, luby mój!

Rozkwitnę na twej piersi kwiatem szczęścia, kwiatem miłości, kwiatem życia.

I słodką pieśń dziękczynienia zaśpiewam ci, o zbawco mój... —

śpiewała Komurasaki, gdy pięciogłowy potwór stawiał ją na dawnem miejscu; tak się chwiała upojona szczęściem, że gdy ujrzała słodkie oczekujące spojrzenie Antinousa, oszalała z radości i w uniesieniu najwyższem padła mu tak

namiętnie w ramiona, że rozprysła się o tę pierś zbawczą na kawałki...

I tak pękło to słodkie porcelanowe serce Komurasaki.



Wł. St. Reymont.

Spokój.

I.

Śród cyprysów, posępnie strzelających w górę,
Na stoku wzgórza, w łące z anemonów litej,
Walały się prastare grobowcowe płyty,
Szare, we mchy odziane, niby w owczą skórę.

Na nich zwietrzałe twarze, spokojem ponure, —
Pod niemi legły groźnych bohaterów ciała,
Niewzruszone, choć burza nad ziemią leciała
I gromów zygzakami w strzępy darła chmurę.

Lecz cmentarz nie był wyspą bezludną na świecie.
Przechodząc drogą, pielgrzym obrał w nim mieszkanie,
Chodził nago, spał w cieniu, lub grzał ciało w słońcu.

W nocy z kamiennych twarzy czerpał przy miesiącu
Spokój, albo trawiaste z nich wypełał śmiecie
I łatał gruz w grobowiec, skracając czekanie.

II

Czasami myśl potężna w głowie mu się rodzi
I pędzi w dal, jak wielkie rozhukane konie,
Co przelecą jak orkan, znikną w nieboskłonie,
A kopyt ślad po wiekach jeszcze się znachodzi.

Wyrywa głazy z ziemi, w mury niemi godzi;
Że dyskobolem niegdyś był pierwszym, wspomina,
Dumny z giętkiego ciała, jak naga dziewczyna.
Powracać chce do żywych, z cmentarza wychodzi.

Lecz za bramą w zadumie zatrzymuje kroki:
To kamiennego żal mu spokoju cmentarza;
To chciałby bratnie duchy wyrwać z pod opoki,

By z nimi iść! Po chwili znowu w bramę biegnie;
Wracać w służbę do ludzi sam się nie odważa...
Więc, żyjąc w państwie grobów, czeka, aż w niem legnie.

Henryk Ochenkowski.

ŻART, SATYRA, IRONIA I GŁĘBSZE ZNACZENIE

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY.

BAKON von HALDUNGEN.
LIDDY, jego siostrzenica.
Pan von WERNTHAL.
Baron von MORDAX.
Pan MOLLFELS.
TRUTKA, poeta.
BAKAŁARZ wiejski.
TOBIASZ, chłop.
BOGUMIŁEK, jego syn.
MAŁGOSIA, dziewka sędziny.
KONRAD, kowal.
CZTERECH NATURALISTÓW.
DYABEŁ.
BABKA dyabła.
CESARZ NERON, jej służący.
GRABBE, autor komedyi.
Trzynastu krawczyków, oraz inne podrzędne osobistości.

Rzecz dzieje się we wsi barona lub w okolicy.



AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Izba bakałarza. BAKAŁARZ siedzi przy stole i nalewa sobie z wielkiej butli jedną szklankę za drugą.

BAKAŁARZ.

Utile cum dulci, wódka z cukrem! — Gorzki dzień obiecuje mi się dzisiaj, — mam w chłopaków wiejskich wnękać pierwszą odmianę rzeczowników. Chłopaczyska ze wsi i pierwsza deklinacya! To jak gdyby kruk miał wdziać czystą koszulę! Wygląda przez okno. Do stu piorunów! toż tu idzie pokraczny Tobiasz, ze swym głupawym bębnem. Niech cię licho! gdzież tu schować wódkę? Żywo, żywo! ukryjmy ją w brzuchu. Wychyla butlę z niezmierną szybkością. No, tego łyku nie powstydziłby się sam Pestalozzi! A pustą buteleczkę — przez okno precz!

Wchodzi Tobiasz z Bogumiłkiem.

TOBIASZ.

Jakże się spało, panie bakałarzu?

BAKAŁARZ.

Bóg zapłać, kumie, Bóg zapłać! — Cóż w rodzinie,— wszystko dobrze?

TOBIASZ.

Te, — nijak! Żona niby zdrowa, ale najlepsza moja świnia leży w ostatnich podrygach. Stęka i jęczy jak stary chłop.

BAKAŁARZ.

Żałuję, żałuję, równie świni jak starego chłopa.

TOBIASZ.

Jakże tam na politycznym widnokręgu, panie bakałarzu? Co piszą ostatnie gazety? Cóż grek, — zwyciężył? Przepędził nareszcie odwiecznego wroga?

BAKAŁARZ.

Konjunktury nie są zbyt niekorzystne. *Hamburska Niezależna* uśmierciła znowu 30000 turków, zaś *Korespondent Norymberski* gwałci wciąż niezmordowanie greckie dziewice z najszlachetniejszych rodów. Szepczą sobie również na ucho, ze źródeł najbardziej wiarogodnych, że rozbita armia Ypsilantiego odniosła w wielkiej batalii z 25-go przyszłego miesiąca walne zwycięztwo.

TOBIASZ, z nosem w górę, z gębą w szerz.

Dwudziestego piątego przyszłego mie....?

BAKAŁARZ.

Nie dziw się pan, panie Tobiaszu! Kuryery szybko jadą! Ulepszone trakty, ulepszone trakty!

TOBIASZ.

Jezus, Marya! Taki trakt pocztowy, po którym kuryer o miesiąc zawczas przybiega, radbym przed śmiercią jeszcze zobaczyć!

BAKAŁARZ.

Oczywiście, u nas w kraju coś podobnego rzadko się przytrafia. Mimo to musisz pan, panie Tobiaszu, wiedzieć z własnego doświadczenia, że dobry koń na dobrej drodze godzinną zwykle drogę w pół godziny przejedzie. Wyobraź-że pan sobie konia coraz to lepszego, szosę coraz to doskonalszą, — w końcu stanie się zupełnie naturalnem, że pański koń przejedzie swą drogę w kwadrans, w dziesięć minut, w minutę, w nic, w zgoła nic i nareszcie w mniej niż nic! Pojąłeś pan?

TOBIASZ.

Pojąć, to pojąłem, ale zrozumieć, — niech mnie dyabli porwą! — wciąż jeszcze nie rozumiem.

BAKAŁARZ.

Skoroś mnie pan pojął, nie wiele stanowi, czyś pan mnie przytem i zrozumiał. — Ale, jak to Cyceron do Cezara woła: — hę, a cóż tam wyciągasz z kieszeni?

TOBIASZ.

Otóż to, po co właściwie z Bogumiłkiem tu zaszedłem. Żona każe się pięknie kłaniać i prosi, abyś pan nie pogardził tą kiełbasą.

BAKAŁARZ.

Abym nie pogardził..? Porywa kiełbasę i zjada ją.

TOBIASZ.

Widzisz pan, nasz Bogumiłek ma robaki, przeto żona moja myśli, że z niego będzie kiedyś uczony. — Prawda, Bogumiłku, ty chcesz być uczonym?

BOGUMIŁEK.

Tak jest, ja mam robaki.

BAKAŁARZ.

Kumie, możecie być przekonani, że potrafię cenić obiecujące skłonności pełnego nadziei syna waszego.

TOBIASZ.

To też życzymy sobie, ja i moja żona, abyś go pan wziął do siebie i — powiedziawszy z całym respektem — wychował na pastora. Tak chętnie widzielibyśmy go, powiedziawszy z całym respektem, na kazalnicy! — W uznaniu zasług, gotowiśmy przysyłać co święty Marcin dziewięć tłustych gęsi i beczułkę wódki.

BAKAŁARZ.

Beczułkę? I pełną po brzegi?

TOBIASZ.

Aż się przelewać będzie, panie bakałarzu.

BAKAŁARZ.

Co cal, — to wódka! Pański syn należy do najwybitniejszych głów! Wtajemniczę go nietylko w najgłębsze tajniki Dogmatyki, Homiletyki i inne pomocnicze gałęzie Teologii, lecz nadto w plastyczną, idyliczną i mefityczną wiedzę główną naszych kaznodziei wiejskich, jako to: w zakłówanie świń, zarzynanie krów, ładowanie nawozu. Aby panu dowieść, jak bardzo leży mi na sercu powodzenie

Bogumiłka, pójdę z nim dziś jeszcze na zamek, aby go przedstawić wczoraj przybyłej młodej baronównie i jej wujowi, oraz zaprodukować Bogumiłka, jako wielkiego geniusza. Może udzielą mu nadzwyczajnego wsparcia na cele dalszych studyów.

TOBIASZ.

O, uczyń to pan, panie bakałarzu! Tylko, proszę, nie zamęczaj chłopca nauką. Mam parę wołów, co głową ciągnąć muszą: wiem, co znaczy pracować głową. — Zostańcie z Bogiem. Odchodzi.

BAKAŁARZ, do Bogumiłka.

Chodź-że teraz, ośle, i uważaj, co powiem. Pragnę cię pouczyć, jak się masz zachować na zamku, aby uczynić wrażenie genialnego człowieka. Jedno z dwojga: albo trzymaj język za zębami, — wówczas pomyślą: „Do stu dyabłów, ten musi mieć wiele do przemilczenia, skoro słówkiem się nie odezwie“; — albo gadaj rzeczy szalone, gdyż wtedy pomyślą: „Do stu dyabłów, ten musi głębokie rzeczy wygłaszać, skoro my, którzy zresztą wszystko rozumiemy, nie pojęliśmy nic zgoła.“ Możesz również zjadać pająki, lub połykać muchy: „Do stu dyabłów, — zdziwią się wówczas, — to musi być wielki człowiek (albo, jak względem ciebie byłoby stosowniej, — wielki młodzieniec), skoro nie brzydzi się muchami i pajęczyną.“ — Mów teraz, bydlątko, której rady chcesz posłuchać?

BOGUMIŁEK.

Chcę trzymać język za zębami.

BAKAŁARZ.

Mnie tam wszystko jedno, przytrzymuj go sobie nawet dłonią; wygląda to jeszcze bardziej alegorycznie i nie jest

pozbawione poezyi. Jednego wszakże koniecznego rekwizytu nie mogę ci oszczędzić, — powinieneś od czasu do czasu okazać coś w rodzaju genialnego roztargnienia. Uczynisz to mniej więcej tak, mój Bogumiłku. Wychodząc z domu, weźmiesz do kieszonki od zegarka zdechłego kota; gdy następnie będziesz spacerował w towarzystwie jakiej pięknej panny, lub gwiazdy na niebie z nią przepatrywał, wówczas wyciągniesz zdechłego kota sobie pod nos, jakgdybyś w niego kichnąć zamierzał. Panna zblednie oczywiście jak trup i wykrzyknie: „Saperlot, zdechły kot!“ Ty wtedy rzekniesz w roztargnieniu: „Ach, mój Boże, jam sądził, że to jest gwiazda z firmamentu.“ — Widzisz, potworku, coś podobnego daje sławę oryginalności. **Uderza go w twarz.**

BOGUMIŁEK.

Oj! oj! oj!

BAKAŁARZ.

Nie wrzeszcz, synku! *Utile cum dulci.* Wiedz, że to należy do subtelności mej metody wychowawczej: przy każdej ciekawej nauce wybijam na twarzy ucznia przenikający przez wszystkie kości policzek. Gdy kiedyś przypomni go sobie, ocknie mu się w pamięci i nauka, która policzkowi towarzyszyła. — Ale teraz marsz na zamek! — Umocz-że pióro w kałamarzu i przeciągnij mi skośnie przez twarz i poprzez nos grubą kréchę atramentem. Niech jaśni państwo widzą nawet na mem obliczu ślady pilności. **Bogumiłek przeciąga mu grubą czarną kréchę przez twarz i obaj wychodzą.**

SCENA II.

Jasny, ciepły dzień słoneczny. DYABEŁ siedzi na wzgórzu i marznie.

DYABEŁ.

U, ależ zimno! — oj zimno! — w piekle byłoby cieplej! — Satyryczna babunia uszyła mi wprawdzie futrzanych koszul siedem (jako że liczba siedem najczęściej powtarza się w biblii), siedem płaszczyków futrzanych, siedem futrzanych kapturków, — ale zimno mimo to! — oj zimno! — Gdybyż módz choć drzew nakraść, lub las zapalić — las zapalić! — Do stu aniołów, tożby było coś niezwykłego, żeby dyabeł miał zmarznąć! Drzew nakraść, — las zapalić — zapalić — nakraść — — Zamarza.

Wchodzi NATURALISTA, zajęty poszukiwaniem roślin.

NATURALISTA.

Dalibóg w tych stronach znajdują się rzadkie rośliny.

Panie Boże, któż tam na ziemi leży? Człek nieżywy i, jak się zdaje, najwyraźniej zmarznięty No, to byłoby szczególniejsze. Cud, jeśli bywają cuda! Mamy dzisiaj drugiego sierpnia, słońce praży, doczekałem się chyba najgorętszego dnia w mem życiu, a ten człowiek ośmiela się, wbrew wszelkim regułom i spostrzeżeniom ludzi uczonych, zmarznąć najbezczelniej! — Nie, to jest niemożebne, to jest absolutnie niemożebne! Trzeba czemprędzej nałożyć okulary! — Nałożyłem okulary, a ten nicpoń mimo to zmarzł. Niebywałe, nadzwyczajne! Muszę go pokazać kolegom. Chwyta dyabła za kołnierz i wlecze go ze sobą.

SCENA III.

Sala na zamku. DYABEŁ leży na stole, otacza go CZTERECH NATURALISTÓW.

PIERWSZY NATURALISTA.

Musicie mi panowie przyznać, że sprawa tego nieboszczyka jest nader zawiłym problemem.

DRUGI NATURALISTA.

To zależy! Najgorszem jest to, że jego futrzane szaty tworzą tak przepaścisty labirynt, iż nawet podróżnik Cook, co świat objechał, nie potrafiłby ich rozpiąć.

PIERWSZY NATURALISTA.

Musicie mi przyznać, że to jest człowiek.

TRZECI NATURALISTA.

Oczywiście! Toć ma pięć palców i nie posiada ogona.

CZWARTY NATURALISTA.

Należy tylko rozstrzygnąć pytanie, co to za człowiek?

PIERWSZY NATURALISTA.

Słusznie! Przystępując wszakże do badań, nie jest się nigdy dosyć ostrożnym. To też, mimo że dzień jest jasny, radzę zapalić jeszcze światło.

TRZECI NATURALISTA.

Bardzo słusznie, panie kolego! Zapalają światło i stawiają je tuż obok dyabla na stole.

PIERWSZY NATURALISTA, po długiej pauzie, podczas której wszyscy czterej przypatrywali się dyabłu z natężoną uwagą.

Moi panowie, sądzę, że w sprawie tego zagadkowego trupa doszedłem wreszcie do pożądanej jasności sądu, i mam nadzieję, że się nie mylę. Zauważcie, proszę, ten zadarty nos, te szerokie pyskate wargi, — zauważcie, powiadam, tę niedającą się wprost podrobić cechę boskiej trywialności, rozlaną po całem obliczu, a przestaniecie wątpić, że leży oto przed nami współczesny recenzent, i to jeden z najtypowszych.

DRUGI NATURALISTA.

Kochany kolego, nie mogę całkowicie pisać się na niezmiernie zresztą bystry sąd jego. Pominąwszy już, że dzisiejsi recenzenci, zwłaszcza krytycy teatralni, są—według mego zdania — raczej prostodusznie naiwni, aniżeli trywialni, — nie dostrzegam w twarzy nieboszczyka ani jednej z cech wyliczonych przed chwilą. Przeciwnie, widzę w niej raczej coś dziewiczego!.. Te krzaczaste, zwisłe brwi świadczą o wątłej kobiecej wstydliwości, która nawet spojrzenia swe ukryć się stara; zaś nos, który pan zwiesz zadartym, jest dla mnie jakby przez grzeczność odchylonym, aby łaknącemu kochankowi wygodzić jaknajwiększem miejscem dla pocałunku. Jednem słowem, o ile pozory mnie nie mylą, mamy do czynienia z córką pastora.

TRZECI NATURALISTA.

Muszę wyznać, mój panie, że ta hypoteza wydaje mi się nieco śmiałą. Co do mnie, przypuszczam, że nieboszczyk jest dyabłem.

PIERWSZY i DRUGI NATURALISTA.

To jest *ab initio* niemożliwe, ponieważ dyabeł nie pasuje do naszego systemu.

CZWARTY NATURALISTA.

Nie sprzeczajcie się, czcigodni panowie koledzy. Chcę wam obwieścić moje zdanie i gotówem pójść o zakład, że przyklaśniecie memu sądowi. Zauważcie tę niesłychaną brzydotę, która zdaje się skrzeczyć natrętnie z każdego rysu tej twarzy, — a będziecie musieli przyznać, że taka potworność nie egzystowałaby na świecie, gdyby nie było niemieckich autorek.

Pozostali trzej NATURALIŚCI.

Tak, to jest niemiecka literatka! Ustępujemy przed powagą słusznych argumentów.

CZWARTY NATURALISTA.

Dziękuję kolegom! — Ale cóż to? Zauważyliście panowie: od czasu jak podsunęliśmy jej światło pod nos, nieboszczka zaczyna się poruszać? Oto palce jej się kurczą — porusza głową — otwiera oczy — ona żyje!

DYABEŁ, unosząc się na stole.

Gdzież ja jestem? — Uu, — marznę wciąż jeszcze! Do naturalistów. Moi panowie, zamknijcie, proszę, oba okna; nie znoszę przeciągu!

PIERWSZY NATURALISTA, zamykając okno.

Pani cierpi prawdopodobnie na płuca?

DYABEŁ, złażąc ze stołu.

Niezawsze! Gdy siedzę w dobrze napalonym piecu, wówczas nie.

DRUGI NATURALISTA.

Co takiego? co? Pani siadujesz w napalonym piecu?

DYABEŁ.

Tak jest. Mam zwyczaj czasami tam siadywać.

TRZECI NATURALISTA.

Szczególne przyzwyczajenie! Notuje skrzętnie.

CZWARTY NATURALISTA.

Wszak pani jesteś literatką? Czyż nie?

DYABEŁ.

Literatką? A cóż to znów ma znaczyć? Te kobiety dyabeł czasem biesi, ale niechże Bóg dyabła broni, aby one dyabłami się stały.

NATURALIŚCI razem.

A więc jednak dyabeł? dyabeł?! Chcą uciekać.

DYABEŁ, na stronie.

No, teraz muszę łgać, — łgać, co się zmieści! Głośno: Panowie! panowie! dokądże to? Uspokójcie się, proszę! Nie będziecie chyba uciekali przed małym żartem? Pozwoliłem sobie zadrwić z własnego imienia.

Naturaliści powracają.

Nazywam się: Dyabeł, ale dyabłem nie jestem.

PIERWSZY NATURALISTA.

Z kimże więc mamy przyjemność?

DYABEŁ.

Teofil Chrystyan Teufel, kanonik w służbie księcia X, członek honorowy towarzystwa rozpowszechniania wiary chrześciańskiej pośród żydów, kawaler papieskiego orderu zasługi. — Order otrzymałem niedawno, właśnie w wie-

kach średnich, za utrzymywanie motłochu w ustawicznej trwodze.

TRZECI NATURALISTA.

W takim razie musisz pan być w bardzo poważnym już wieku?

DYABEŁ.

Mylisz się pan. Mam zaledwie lat 11.

TRZECI NATURALISTA, do drugiego.

E, to największy łgarz, jakiego kiedykolwiek oglądałem!

DRUGI NATURALISTA, do trzeciego.

Jako taki, będzie się bardzo damom podobał.

DYABEŁ zbliża się coraz bardziej do światła i wtyka nareszcie palec w ogień

PIERWSZY NATURALISTA.

Na litość boską, księże kanoniku, pan wtykasz palec w ogień!

DYABEŁ, zmieszany, cofa palec.

Tak — lubię — od czasu do czasu — wsadzić palec w ogień.

TRZECI NATURALISTA.

Szczególne upodobanie! Zapisuje skrzętnie.

Wchodzą BARON, LIDDY, WERNTHAL i TRUTKA.

CZWARTY NATURALISTA.

Ach, pan Baron i reszta towarzystwa!

PIERWSZY NATURALISTA, zwracając się do wchodzących.

Przedstawiam państwu kanonika Teofila Teufel, który w wiekach średnich otrzymał od papieża order cywilnej zasługi; siaduje chętnie w dobrze napalonych piecach i rad wtyka palec w ogień.

TRUTKA.

A, panie kanoniku, zjawiasz się pan w samą porę, aby połączyć piękną Liddy z panem von Wernthal.

DYABEŁ, w kłopocie.

Połączyć? Ja? Półgłosem: Do stu świętych piorunów! Nie znam formuły kościelnej!

LIDDY.

Nie klnij-że pan tak strasznie, kanoniku! Na połączenie możemy jeszcze dobrych kilka poczekać miesięcy.

WERNTHAL.

Jak pani możesz kazać mi tak długo wyczekiwać na tę rękę, którą z takiem utęsknieniem do ust przyciskam?

LIDDY, usuwając niechętnie rękę.

Panie von Wernthal, proszę, daj pan pokój! Tak nie lubię tych dziwactw.

WERNTHAL.

O, droga panno Liddy, ubóstwiam panią tak bezgranicznie, że...

BARON częstuje go czemprędzej tabaką.

Tabaki, panie von Wernthal. Wernthal bierze niuch tabaki i kicha.

DYABEŁ zbliżył się tymczasem do światła i wetknął znowu palec w płomień.

NATURALIŚCI, którzy na każde jego poruszenie pilną zwracali uwagę, wykrzykują teraz jednogłośnie:

Patrzcie, patrzcie państwo, kanonik znowu palec w płomień wtyka.

DYABEŁ.

E, kiedy tak! — Prawą ręką wyrywa sobie lewe ramię, rozdziela niem chłostę między naturalistów i przepędza ich w ten sposób za drzwi; potem przytwierdza sobie ramię i powraca do towarzystwa.

TRUTKA.

Ależ panie! panie! co pan każesz myśleć o sobie? Wyrywasz pan sobie ramię i nakładasz je znowu jak pończochę. Doprawdy, to nawet w poezyi byłoby zbyt śmiałe, a cóż dopiero w życiu!

DYABEŁ.

Przestraszają pana drobiazgi! Nic więcej, tylko trocha zręczności! Studyowałem w uniwersytecie ***, gdzie na wykładach można ubocznie nabrać nieco wiadomości i co do takich sztuczek.

SŁUŻĄCY, we drzwiach.

Bakałarz pragnie być dopuszczonym przed jaśnie państwo. Przyprowadził ze sobą geniusza, którego radby zaprodukować.

BARON.

Powiedz temu opojowi, żeby się wraz ze swoim geniuszem wynosił do stu dyabłów.

LIDDY.

E, wujaszek psuje nam zabawę. Bakałarz jest najweselszym szelmą, jakiego znałam, a przy głupocie, o któ-

rą go podejrzewają, wie znakomicie, co czyni! Wynalazł prawdopodobnie we wsi zakutego jakiegoś gamonia i przedstawi go nam jako wielkiego poetę, przyrównywając go z całą bezczelnością do Homera lub Ariosta.

BARON.

Niech więc przyjdzie. Służący odchodzi. Ale pan, panie kanoniku, musisz go nieco przycisnąć!

DYABEŁ.

Już ja go wezmę na pacierze, panie baronie.

WERNTHAL, do Liddy:

Że też pani zawsze każdemu —

BARON.

Niuch tabaki, panie von Wernthal? Wernthal zażywa i kicha.

LIDDY.

Bakałarz przyniósł pewno ze sobą nowy zapas śledzi.

TRUTKA.

Te przeklęte śledzie! Wychodzi nachmurzony.

BARON.

Cóż te śledzie znów znaczą, dokuczliwa siostrzeniczko? Trutka uraził się o nie najwidoczniej.

LIDDY.

Cierpliwości, drogi wuju! Dowiesz się niebawem z ust samego bakałarza.

Wchodzą BAKAŁARZ z BOGUMIŁKIEM.

BAKAŁARZ, wśród szerokich reweransów.

Mam zaszczyt, oraz —

WERNTHAL.

Na miłość boską, panie bakałarzu, cóż za straszny kleks masz pan na twarzy?

BAKAŁARZ, udając zdziwionego.

Ja? — kleks? — Naprawdę? — Jaśnie państwo sami osądzą, co może pilność — gorliwość —

LIDDY.

Nie trudź się pan! Wiemy, co to oznacza. Wczoraj po zachodzie słońca przyszła panu prawdopodobnie jakaś wielka myśl do głowy; a że białego papieru nie było pod ręką, zanotowałeś ją pan sobie w pośpiechu na twarzy.

BAKAŁARZ.

Jaśnie panienka odgaduje wcale nieźle —

LIDDY.

Albo spojrzałeś pan przypadkowo w lustro; własne oblicze wydało się panu zbyt brzydkiem, więc-eś pan je przekreślił.

BAKAŁARZ.

O, pani stajesz się gorzką, bardzo gorzką! Atrament jest prawdziwą krwią serdeczną uczonego, i biada uczonemu, któremu krew serdeczna na twarzy osiądzie, gdyż wygląda to wstrętnie, brzydko i robi czarne plamy.

BARON i WERNTHAL.

Zabawny pedant!

LIDDY, szeptem do bakałarza.

Żart na stronę! Czy stara Marya otrzymała pieniądze?

BAKAŁARZ.

Tak jest, droga panienko, płakała przytem z radości.

LIDDY.

Ciszej! Oto jeszcze jeden luidor. I powiedz pan jej, że zajdę sama dziś wieczór.

DYABEŁ, który tymczasem znowu do światła się zbliżył, poczyna nagle płakać i szlochać.

BARON.

Hola, cóż to się kanonikowi stało? Szlocha jak koło młyńskie.

WERNTHAL.

Doprawdy, łzy spływają mu po policzkach.

BAKAŁARZ.

Kanonik!? — Bogumiłku, pokłoń się!

LIDDY.

Co panu, drogi panie?

DYABEŁ.

I pani możesz jeszcze pytać! Coś szlachetnego musiało się stać tutaj.

BARON.

Coś szlachetnego?

BAKAŁARZ.

Ksiądz kanonik nie myli się; panna Liddy dała mi w tej chwili luidora dla chorej Maryi.

DYABEŁ.

Nie mówiłem!

WERNTHAL.

I dlatego zacząłeś pan płakać?

DYABEŁ.

Tak jest, wtrąciło mnie to w melancholię.

LIDDY.

Uspokój się pan. Nie powtórzy się to tak prędko.

BARON.

Ależ to jest szczególniejsze u kanonika!

WERNTHAL.

I cóż pan na to, panie bakałarzu?

BAKAŁARZ.

Ksiądz dobrodziej musi być bardzo uczuciowo nastrojony?

BARON.

„Uczuciowo nastrojony?“ — Zkądżeś pan wytrzasnął to mizerne wyrażenie?

BAKAŁARZ.

Wyczytałem je w gazecie dla wykwintnego świata.

BARON.

Gazeta dla wykwintnego świata? A pan zkąd do niej przychodzisz?

LIDDY.

A teraz, wujaszku! — pamięta wuj te śledzie, przed któremi uciekł estetyczny Trutka?

BAKAŁARZ.

Widzi pan Baron, jest to okoliczność mniej więcej taka. Mam w mieście dalekiego kuzyna pana Pfennigszlukera, który handluje dratwą, gemmami, sztychami, rybami i staremi spodniami. Handel bardzo korzystny.

BARON.

Wierzymy chętnie.

BAKAŁARZ.

Otóż ten człowiek zwykł mi co dwa tygodnie przysyłać paczkę nawpół zgniłych śledzi, za którą płacę mu śmieszną cenę 14 groszy! Pojedyńcze śledzie zawija mój kupiec starannie w świeże arkusze najnędzniejszych poezyj i gazet. W ten sposób jestem, mniej więcej, dokładnie obeznany ze współczesną naszą literaturą.

BARON.

Ha, ha, ha! Literatura śledziowa!

BAKAŁARZ.

Otrzymuję w ten sposób poezye *Augusta Kuhn'a*, opo-

wiadania *Krug'a von Nidda*, dźwięki drumli lub liry *Teodora Hell'a*, oraz tragedye niejakiego pana *von Houwalda* — *)

WERNTHAL.

Na Boga, sami damscy pisarze, sami ulubieni dam autorzy!

LIDDY.

Panie von Wernthal, jeżeli najjałowszych pismaków nazywać, jak to zresztą dziś w modzie, pisarzami dla dam, — nie robi się tem zaiste komplementu płci naszej.

BARON.

Nie gniewaj się Liddy na pana Wernthala. — Pomyśl tylko: — Houwald! roztropny, rzewny i wątły Houwald, owinięty koło śledzia! Co za zniewaga!

BAKAŁARZ.

To nie jest zniewaga, panie Baronie, lecz ulepszenie! Poczciwemu człeczynie zachciewało się czasami satyry. Przed niedawnemi czasy napisał parodyę „Winy" *), która, mimo wielu wad swoich, wydaje mi się jeszcze za dobrą, aby ją mogli zrozumieć recenzenci. Robótka pana Houwalda nazywała się, jeśli mnie pamięć nie myli, „Łapką na my-

---

*) Dla scharakteryzowania tych pisarzy, po których dzisiaj śladu nie zostało, dość będzie wspomnieć o najbardziej podówczas cenionym Houwaldzie (Ernest von H. ur. 1778). Powodzeniem cieszyły się swego czasu dwie jego tragedye: „*Obraz*" (1821) i „*Wieża morska*" (1821), obie zbudowane ułomnie, o charakterystyce ludzi nader nikłej, przytem łzawe, rzewne i koturnowo retoryczne. Na szczudła wsadzał swych bohatetów już przy chrzcie, nadając im szumne cudzoziemskie imiona. Popularnością jako „rola" cieszył się np. wśród ówczesnych szeroko deklamujących aktorów malarz *Spinaroza* z *Obrazu*. O tem imieniu i podobnych upodobaniach ówczesnych pisarzy patrz u Grabbego nieco dalej. *(Przyp. tłómacza)*.

szy“ i zawierała wprawdzie wiele trywialności, lecz ani ziarenka soli. Od czasu, gdy moje śledzie zlitowały się nad nim, przesiąkł tak nawskróś solą, że nawet *Müllner* *), gdyby go do ust wziął, wykrzyknąćby musiał: „Jak żyję, nie smakowałem nic równie słonego.“

BARON.

Bravissimo, bakałarzu! Podobasz mi się pan.— Ale, na miłość boską, zkąd pan, siedząc na wsi, dochodzisz do tych satyrycznych poglądów na literaturę współczesną?

BAKAŁARZ, kłaniając się w stronę Liddy.

Oto moja nauczycielka! Gdy panienka chorowała zeszłej zimy, musiałem jej odczytywać co wieczór najnowsze dzieła, — i choć mnóstwo tych książek skazywała wówczas na spalenie, ja mimo to skorzystałem niemało.

LIDDY.

Zbyt wiele zaszczytu, panie bakałarzu!

Podczas tej rozmowy dyabeł usunął się na stronę. Ze złośliwym uśmiechem połamał jakieś krzesło, wrzucił drzazgi do kominka, rozniecił ogień, zasunął parawan przed kominek i ukrył się po za nim.

---

*) Adolf Müllner, ur. 1774, pozostawił po sobie olbrzymią ilość bezwartościowych komedyj, oraz kilka tragedyj fatalistycznych. Złowróżbna data (tragedya „*29 Luty*“), przepowiednia cyganki (tragedya „*Wina*“) stają się węzłem dramatycznym, rozsnuwanym mozolnie przy pomocy takich środków jak obłęd, piorunowe noce, szczęk oręża, sentymentalne krasomówstwo. „Psychologicznej prawdy i głębi niema w tych utworach ani śladu,“ jest natomiast zręczna kazustyka prawnicza (Müllner był adwokatem!). Jako krytyk i wydawca pisemka „*Mitternachtsblatt*“, był groźnym dla współczesnych pisarzy, „ponieważ w umiejętności szkodzenia swym rywalom i przeciwnikom był równie zręcznym, jak nie znającym skrupułów sumienia.“ *(Przyp. tłómacza).*

WERNTHAL dostrzega pierwszy jego nieobecność.

Ale gdzie się podział nasz kanonik?

BARON.

Uciekł widocznie. Być może, iż i on jest jednym z tych nowych skrybów.

BAKAŁARZ.

Tak, tak, — prawdopodobnie i on będzie kiedyś owinięty około zgniłego śledzia.

BARON, gniewnie.

Cały lipski jarmark książkowy należałoby około tych śledzi owinąć! — Żydowskie bębny, których całe wykształcenie polega na jedzeniu świniny, wdrapują się na sędziowskie trony i nietylko wynoszą pod niebiosa kramarzy najmizerniejszej banalności, lecz ośmielają się napastować swemi pochwałami najczcigodniejszych ludzi!

Liddy odwraca się i wszczyna rozmowę z Wernthalem. Baron wybucha jeszcze gwałtowniej.

Kowale rymów, — tacy głupi, że, ilekroć jakiśkolwiek ich świstek wpadnie między publiczność, osły podnoszą się w cenie — zwą się doskonałymi poetami; aktorzy — tacy nudni, że wszystko klaszcze z radości, kiedy się wreszcie ze sceny wynoszą, — przybierają miano myślących artystów; lichoty, których głosy są tak ostre, że możnaby niemi chleb krajać, tytułują się dziś prawdziwie dramatycznemi śpiewaczkami! — Muza tragedyi stała się dziewką uliczną, którą gwałci pierwszy lepszy smarkacz i płodzi z nią pięcionożne potworne cielęta, tak obrzydliwe, że muszę żałować nieszczęśnika, które je spłodził. Słowa genialny, dowcipny, głęboko uczuciowy są dziś tak nadużywane, że

widzę nieomal czas, gdy dla zohydzenia najgorszego obwiesia w oczach całego kraju przybijać mu będą na szubienicy: „N. N. jest dowcipny, uczuciowy, znakomity, genialny!“ — O, kiedyż zjawi się nareszcie olbrzymi geniusz, od stóp do głowy opancerzony boską potęgą, i zlitowawszy się nad niemieckim parnasem, przepędzi tę hołotę z powrotem w bagna, z których wypełzła!

BAKAŁARZ.

Ten geniusz zjawił się, panie Baronie, oto stoi przed panem: — jest nim Bogumiłek.

LIDDY, wybucha śmiechem.

Więc to on!

BAKAŁARZ

On to jest, szanowna pani, on! — Własnej swej matce powyrzucał niedawno garnki przez okno.

LIDDY.

Bogumiłku, czyś ty geniusz?

BOGUMIŁEK.

Ja — ja — ja —

BAKAŁARZ.

Podziwiaj pani przytomność umysłu, z jaką przybiera on natychmiast malowniczą postawę! Jak on się cudownie po skroni drapie! Wszakże to wierna poza Hogartowskiego „płaczącego ulicznika!“ Mówiłem zawsze, że w Bogumiłku drzemie wielki talent do dramatu malowniczego.

BARON.

Malowniczy dramat, bakałarzu? A cóż to znów takiego?

BAKAŁARZ.

Dramat malowniczy jest nowością, panie baronie. Dziecię, które chętnie bawi się farbami i malowankami, cieszy się, że je odkryło. Charakter tych dramatów polega na tem, że w nich wszystko malowniczem być powinno, poczynając od osób, właściwie naiwnych głuptasów, posiadających natomiast imiona rycerza Nanni, Van Dycka, Spinarozy, markiza di Sorrento i t. d. *).

BARON.

I cóż pan powiesz, panie von Wernthal, na tę charakterystykę malowniczych dramatów?

WERNTHAL.

Obawiam się, że bakałarz widzi je bardziej malowniczo, niźli to było w zamiarach autorów.

LIDDY.

Nie uważają panowie, że w pokoju staje się niemożliwie duszno?

WERNTHAL, **który już kilkakrotnie ocierał sobie pot z czoła.**

Oj tak, — czuć szybko wzmagający się upał. Ma się niemal wrażenie, jakgdyby napalono w pokoju.

BARON.

Zkądżeby? Słońce chyba pali w kominie.

---

*) Patrz dopisek na stronicy 483.

LIDDY.

Powiedz mi, Bogumiłku, kto z nich obu ma racyę?

BOGUMIŁEK.

Tak.

LIDDY.

Oj, bakałarzu, toż to jest niemożebny gamoń!

BAKAŁARZ.

Gamoń-geniusz, jakich nie brak w dzisiejszych czasach. Taki pragnie być zrozumiałym, on posiada głębie! Jego dzieła nie bywają też obwijane około zgniłych śledzi.

LIDDY.

Przemawia to na jego korzyść; świadczy przynajmniej, że nie napisał jeszcze żadnego.

WERNTHAL, do Barona.

Zauważcie państwo, proszę, ten dym w pokoju. On chyba nie od słońca pochodzi?

BARON.

Przyznaję, żem się mylił, — ale toć nie wybuchnął przecież ogień w sąsiednim pokoju?

DYABEŁ poczyna śpiewać w kominie za parawanem na nutę piosnki rybackiej Goethego.

Ach, gdybyś czuł, jak błogi jest
Dyabłowi ognia żar —

Wyciąga tryl.

BARON.

Do dyaska, toż to głos kawalera orderu papieskiego!..

BAKAŁARZ, biegnie za parawan, lecz powraca natychmiast, pełen przerażenia.

Nie, nie! — co się to dzieje!? Włosy jeżą mi się na głowie. Pan kanonik siedzi w kominie, pośród buchających płomieni, połyka rozżarzone węgle i wyciąga tryle, aż zmiłuj się Boże!

WSZYSCY.

Co takiego!?.. Odsuwają gwałtownie parawan. Widać, jak dyabeł wyłazi z komina.

BAKAŁARZ.

Patrzcie, patrzcie państwo, zkąd wyłazi! *O tempora, o mores!*

BARON, do dyabła.

Do kaduka, cóż to za zachowanie się? Oszalałeś pan? Siadać w kominie? Węgle poły —

DYABEŁ, na stronie.

No, teraz trzeba być czelnym i ratować się miedzianem czołem. Do bakałarza: Ty marny skrzeku rozpuszy! jak śmiesz mówić, żem siedział w kominie!

BAKAŁARZ.

Panie —

DYABEŁ.

Teraz wierzę niewzruszenie, że pięćdziesiąt beczek Danaid było pięćdziesięcioma bakałarzami, gdyż w końcu wszystko wypełnić się musi, tylko taki przepity wyrobnik od nabijania policzków na dziecięcych twarzach, — ten się nigdy nie wypełni. Jakim-że sposobem mógłbyś widzieć mnie w kominie, pytam się ciebie, ty butlowa pijawko, gdybyś nie był skuty do nieprzytomności? — Wiedz-że, iż siedziałem przed kominem i dmuchałem w ogień.

BAKAŁARZ.

Do pioruna, panie kanoniku!

DYABEŁ.

Co!? I ty mi jeszcze gadać chcesz, ty —

LIDDY.

Cicho! Dosyć mam tych wymyślań.

BARON.

Powiedz mi pan, czem napaliłeś w kominie?

DYABEŁ, z widocznem zadowoleniem.

Pięknem krzesłem, które stało tam w kącie.

LIDDY.

To było najlepsze krzesło w domu!

DYABEŁ.

Czyżby? O me przeczucia! Cieszy się.

BARON.

Gdyby tak wrzucić tego łotra w psią jamę?

WERNTHAL.

Nie miałbym nic przeciwko temu.

LIDDY.

Ależ wuju! Ten człowiek teraz dopiero zaczyna mnie interesować. Proszę, każ mu dać pokój na zamku. Za krzesła, jakie połamie, chętnie zapłacę.

BARON.

Oj, kobiety! Wam każde szaleństwo natychmiast

ćwieka w głowę zabija! Do dyabła: Jeśli masz pan wolę pozostać, piękny pokój jest do jego rozporządzenia.

DYABEŁ.

Przyjmuję gościnność i dziękuję z całego — Do siebie: Co? Dziękować? To byłoby niemal szlachetne! Głośno: Dbam o pańskie zaproszenie tyle, co pies o piątą nogę. Zresztą, jak można przyjmować do swego domu zupełnie obcego człowieka, o którym nic się jeszcze nie wie? Jest to nawet bardziej głupio, niźli nieostrożnie! Ale mniejsza o to. Gdzież jest ten gałgan służący, który ma pokój mi wskazać?

Wychodzi.

BARON, do Liddy.

No, masz gościa, który w kaszy zjeść się nie da.

LIDDY.

Powiedz raczej: który w ogniu nawet nie da się spalić.

BARON.

Obawiam się, moja dzieweczko, że godziny z nim nie wytrzymasz.

LIDDY.

Nie kłopocz się o to.

BARON.

On gotów posunąć swą czelność po za wszelkie granice.

LIDDY.

Wówczas każę precz go wyrzucić.

BARON.

O, ty zawsze potrafisz sobie poradzić! — Ramię twoje! — Każemy sobie podać kawę do ogrodu.

LIDDY.

W tej chwili idę za wami.

Baron i Wernthal wychodzą.

LIDDY, do bakałarza.

Proszę, — drobnostka na ukojenie pragnienia. — Nie wstydź się pan, znam pańską słabość. — Ale zanieś pan natychmiast Maryi tego luidora.

BAKAŁARZ.

W te pędy, jaśnie panienko!

LIDDY.

Do widzenia!

Wychodzi.

BAKAŁARZ.

Boska dziewczyna! — A ty, mój Bogumiłku, cóż powiesz? Zapoznano cię, biedny chłopaku! Pociesz się, tak się wiodło wszystkim wielkim umysłom. Nawet Solon, Plato, Cartouche, Robespierre, Henryk czwarty i Kaligula zaznali podobnego losu. Chodź, chłopcze, chodź! Zamknę cię na cztery dni do komórki i nie dam nic jeść; może cię to uczyni jeszcze bardziej zześrodkowanym w sobie, niźli już jesteś.

Bogumiłek wrzeszczy; wychodzą obaj z bakałarzem.

SCENA IV.

Inny pokój na zamku. Wchodzi DYABEŁ.

DYABEŁ.

Czekajże, baronie! Dałeś mi pokój na zamku — zemszczę się. — Liddy chce wyjść za Wernthala — ma się dostać pod czepiec — potrafię temu przeszkodzić, albo nie jestem dyabłem! — Nie rozumiem, co to znaczy, ale jest mi jakoś łechotliwie na duszy! Ogarnia mnie jakieś zwątpienie — jakaś żałość — jakiś smętek! Niech mię Bóg porwie, bodaj że podkowa obruszyła mi się na kopycie! Odwija chusty, któremi miał owinięte nogi. Och, niestety, aż nadto prawdziwe podejrzenie! Okucie zeszło, starło się na nic. Zaledwo stąpnąć mogę na kopyto. Oj! Oj!.. Niema innej rady, muszę się przemódz i posłać po kowala. Klaszcze w ręce. Bywaj! służba!

SŁUŻĄCY.

Do usług jaśnie pana.

DYABEŁ.

Posłuchajno, mój przyjacielu. Jest tu kowal we wsi?

SŁUŻĄCY.

Jest ich aż dwóch, jaśnie panie.

DYABEŁ.

Idźże i przyprowadź mi tego, który się mniej śmieje.

SŁUŻĄCY.

O, w takim razie muszę sprowadzić tłustego Konrada; ten bardzo osowiał od czasu, gdy poprawiono szosę.

Wychodzi.

DYABEŁ.

O, ja nieszczęsny! Jakże tu, w dobry sposób, wytłómaczyć kowalowi, że mam końską nogę? O, nieszczęsny, nieszczęsny!.. Ale otóż idzie. Odwagi, odwagi!

KOWAL, wchodzi.

Jaśnie pan rozkazał — ?

DYABEŁ.

Więc pan jesteś tym — tym —

KOWAL.

Jestem kowal z tej wsi. — Gdzież jest szkapa, którą mam okuć?

DYABEŁ, wybuchając.

Panie, ja nie jestem — Uderza się dłonią w usta. Ostrożnie, ciemięgo! Proszę, niechże pan siądzie, panie kowalu, bardzo proszę! — Jesteś pan żonaty?

KOWAL.

Oczywiście.

DYABEŁ.

Masz pan pewno zacną kobietę?

KOWAL, wzdychając.

No, każdy ma swoje wady.

DYABEŁ, wzdycha również.

Oj, tak!

KOWAL, powstając.

Może mi pan zechce powiedzieć —

DYABEŁ.

A, panu spieszno, panu strasznie pilno! — Jesteś pan ojcem rodziny! Nosisz buty! Masz nogi! Zapina mu guzik przy kamizelce. I ja również — i ja nie mam nóg końskich.

KOWAL.

Wierzę, jaśnie panie, nie spojrzawszy nawet.

DYABEŁ.

Wierz pan temu zawsze: spojrzawszy czy nie spojrzawszy. Ja nie mam końskich nóg! — nie! — Co najwyżej, może... Mówi szeptem, wymawiając takie słowa jak: „moralny,“ „szlachetny,“ „chrześcianin“, z niezmiernym wysiłkiem, wśród gwałtownego kichania: Panie kowalu, — pan jesteś bardzo szla-szla-mazar...— szlachetny! mo — mord — moralny! — wykształcony człowiek, bardzo pobożny, pracowity, pilnie do kir —kirkut —kirchy— do kościoła uczęszczający... chrześcianin. Panu mogę w zaufaniu powiedzieć — stara się ukryć prawą nogę po za lewą — na prawej stopie mam kopyto!

KOWAL, zazierając ciekawie.

Co? — Jak? Kopyto? E!?

DYABEŁ.

Nie, nie, nie! Nietyle kopyto, ile koński stęp — a raczej coś podobnego do końskiej — właściwie do ludzkiej stopy — jednem słowem, nieco grubą podeszew, co zdaleka, przy tępym wzroku, może sprawiać wrażenie kopyta!

KOWAL, pałając ciekawością.

Możeby mi pan, jeśli łaska, tę stopę...

DYABEŁ.

Zaraz, zaraz, kochany, drogi panie kowalu! — natychmiast! Odwija nogę z chust i pokazuje ją kowalowi; sam zaś, płonąc wstydem, zakrywa twarz chusteczką od nosa. Żebyś pan łaskawie jakie żelaziwo przybił na to czemprędzej!

KOWAL, bierze do rąk jego nogę.

E, słuchajno pan, to nie jest zgrubiała podeszew; to jest potężne kopyto, jakiem żadna szkapa — to jest raczej, żadna dusza w chrześciańskie poszczycić się nie może!

DYABEŁ, szepcze wstydliwie z pod chusteczki, którą wciąż oczy sobie przysłania.

Okuj pan, okuj-że pan czemprędzej!

KOWAL.

Na szczęście, mam ze sobą podkowę wielkości żyrandola. Przygwożdżę ją tak, że aż miło! Okuwa dyabła. No, teraz siedzi mocno!

DYABEŁ, radośnie.

Siedzi?

KOWAL.

To czyni talara.

DYABEŁ, do siebie.

Talara? Chybabym oszalał! Głośno: Ty opryszku, żdzierco ty jeden, a wiesz ty kogoś okuł? Jestem szatan, mam — kowal ucieka; dyabeł woła za nim: mam pięćkroć stotysięcy lat i coś nie coś ponadto, porwałem już duszę twego dziada, mam nadzieję przyjść i po twoją; łeb ci za życia jeszcze ukręcę, jeśli choć słówko o mnie piśniesz! I ja miałbym ci płacić, szubieniczniku jeden! Zmieniając ton: Jakże

ten biedny grzesznik zmykał, usłyszawszy me prawdziwe nazwisko! — Ale to mu przyznać muszę: wygodził mi świetnie. Podkowa siedzi jak przyrosła! Przenika mnie błogie uczucie siły. Grzebie kopytem No, teraz, aby przyjść zupełnie do siebie, należy zdrzemnąć się z godzinkę; z tem większą gorliwością weźmiemy się potem do udaremnienia tego małżeństwa. Siada na fotelu i wyciąga książkę z kieszeni. Jak to dobrze jednak, żem wziął ze sobą mój nigdy nie zawodzący środeczek na sen: Messyadę Klopstocka! *). Dość mi przeczytać dwa wiersze z tej książki, aby uczuć się sennym jak suseł. Otwiera książkę. Gdzieżeśmy stanęli ostatnim razem? A, na stronicy 29-ej! Czyta dwa wiersze i zasypia.



Chrystyan Dietrich Grabbe.

*) Olbrzymi wpływ Klopstocka na poezyę niemiecką nie ulega żadnej wątpliwości, natomiast co się tyczy jego „arcydzieła“ (1748 r.), odzywały się już za życia mistrza głosy powątpiewania.

Nokturn.

Pudel, w psim świecie mędrca cieszący się sławą,
Że tłuste z alfabetu wywęsza litery;
Kundel, co zwykł urągać niepojętym zjawom —
Więc krytyk; dalej Buldog z wejrzeniem megiery —
Obraz cnoty i statku — , i Jamnik, co szparko
Dołki kopie, jako też drobniejszy psi ludek,
Powstawszy z materaców lub wylazłszy z budek,
W noc, zwolnione z oków,
Jęły szczekać na księżyc.

— Sam!
— Taki odludek:
— Tylko w gwiazdach, śród obłoków!
— To też niema zdrowej cery!
— W rzeczy samej!
— Jak cytryna wygląda!
— Która ma plamy!
— A jak niegrzecznie
Ku nam wypina okrągłość ronda
W tak zwanej pełni!
— Taki zarozumialec!
— Nie zna co bud kadry!
— Objętość zmienia!
— Ma jakieś kwadry!

— Młodzież uczy rozmarzenia!
— Nic wart społecznie!
— Najzupełniej!
— Lada świeca ma więcej uspołecznienia!
— A już porównać nie da się z latarką!
— Podczas zaćmienia tli się,
Że wstydby było ogarkom!
— Albo znów, gdy nów,
Tak źle przyświeca,
Że choć wal w gębę!
— Rzekłbyś, iż chlubi się,
Że oświatę ściemnił nocnym Markom.
— Dojąłbym ci go zębem,
Ażby mi posoką z nieba lunął...
— Cóż, kiedy wysoko!
— Kto z nim tam wskóra!

Tak co noc wybucha, to cieniej, to grubiej,
Z ziemi do Księżyca
Niechętny zgiełk wrzawy
Psich synów,
Z których tresura
Wytrzebiła ducha.
Ten go oto pies gubi pod kijem
W czas prędki,
Ów go dla kęsa strawy
Powolniej zatraca,
W miarę gdy tyje,
A inny — dla obroży malowanej w centki,
Lub dla materaca,
Ten wreszcie żywić ducha zgoła nie ma chętki.

Świeć im kat!
Stryk nie minie psiej kamaryli.
Jej mniemania szczekliwe
Gasną tam, w wyżynie,
Zkąd Księżyc jasne lice chyli,
Niemy,

Jako świetlana myśl i cicha
Nad padołem,
Nad ziemią, która pono jak wszystko,
Co ziemskie, czyli kobiece,
Przyciąga społem i odpycha:
Mórz mu łono odsłania
W pierś wydęte
I psów mu szle ujadania —
Tu westchniemy...

Z astronomów to wiemy, że przed iluś laty
Księżyc z Ziemią był żonaty,
I wspólnie upędzali się wokoło słońca.
Niech kryje milczenie,
Żali miły był związek ten,
Czy wiercenie się to wspólne,
Czy ta jednia, —
Dość, że siła odśrednia,
Alias dusza bryły,
Wyrwawszy go z ziemskości, rzuciła w przestrzenie.

Tam, choć łatwiej mu bytu
Przenikać istotę,
Choć bliższym jest końca
Czy może rozkwitu nowego,
A przecie nieraz czytasz z bladych lic Księżyca
Tęsknotę,
I że go mami wiecznie
Ta ziemia ziemska, z mierzwą,
Marglem, błotem,
Nawet z jej psami.

A kiedy nocna cisza w nim żałość podsyca,
Wtedy ziemską szatę
Jej olśniewa,
W srebrne ją opony
Marzenia stroi,
Aż mu zalśni majestatem.

Oto dom, z gliny lepiony,
Stoi ziemski,
Jak proch widny mu z bezbrzeży;
Oto ze ścian ścieka lama,
Mieniąca się od pozłoty;
Oto dach tam leży, jak głowa
W koronie, w której lśnień tkwią groty
Strzeliste, i płonie
Licha nàd nią gałązka drzewiny
I zda się berłem.

Tak muszla perłowa
Proch obleka w perłę.



Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Arcydzieło przyszłości. Bywają obłędy epidemiczne. Dziś właśnie taka zaraza umysłowa padła, zda się, na cały ród krytyków. Szukają arcydzieła — i znaleźć go nie mogą. — Cóż znowu? spyta czytelnik, toć tyle mają arcydzieł dawnych? — Pytanie to zdradza gorszącą nieznajomość natury tych sędziów. Któżby czytał arcydzieła przeszłości? Te są (wyznanie konfidencyonalne:) przeważnie nudne (któż np. zdoła zgryźć takiego Danta?), a potem — uznane od lat czy wieków; wszystko (!!) już o nich powiedziano, i dziś wystarczy mieć w zapasie garść superlatywów, oraz „bić czołem w proch latem, a w błoto jesienią.“ Krytycy chcą nowych arcydzieł, arcydzieł „modernizmu;“ oni przecież nie gorsi od p. Mirbeau, który „odkrył“ Maeterlincka, oni przecież także są *modern, ganz modern*. Próżno zaręczać im, że żadnego „modernizmu“ niema, że sztuka jest wiecznie jedna i ta sama, że haseł krzykliwych szukać należy nie w sztuce i u prawych artystów, lecz w hotelach, kawiarniach i tynglach; — groch to ścianę, oni *chcą* „modernizmu.“ Próżno wskazywać im utwory piękne, potężne, wzniosłe, głębokie, pełne przepychu lub pełne prostoty; próżno wymieniać im Verhaerenów lub Eekhoudów, Zeyerów lub Brzezinów, Villiers de l'Isle Adam'ów lub Vielé - Griffinów, Kasprowiczów lub Wyspiańskich, St. George'ów lub Schlafów — oni i tych czytać nie chcą, bo oni tutaj z góry znowu wiedzą, że między nowem pokoleniem „wielkich talentów niema,“ co najwyżej „nietuzinkowe;“ bo ich nie obchodzą rzeczy piękne, lub potężne, lub wzniosłe, lub głębokie; bo każda z tych rzeczy „zawsze jednak nie będzie tem, czego oni pragną;“ bo oni pragną koniecznie arcydzieła, arcydzieła przyszłości. I biegają w kółko za tem niejasnem widziadłem swych wyschłych wyobraźni, i tragicznie wołają „królestwo za arcydzieło,“ i fantazyują na temat, jakby to się *cały* ogół wzruszył, gdyby arcydzieło się zjawiło, i uwodzą się od czasu do czasu tem „wzruszeniem ogółu“ przy fabrykatach Rostand'owskich, i proklamują geniusz i arcydzieło, i geniusz z arcydziełem „zasypują się“ — a oni znów biegają i szukają bezradnie. Ponieważ w tej pogoni, niewyraźne widmo upragnionej do-

skonałości coraz bardziej mętnieje i traci resztę zarysów, więc niekiedy oblegają ich wątpliwości, po czem poznać arcydzieło, gdyby się zjawiło? I wtedy jedni bezskutecznie — bo mgła wyobrażeń *verba* tylko *vana* dać może — próbują stworzyć receptę na arcydzieło; drudzy, szczersi, odważnie występują ze zdaniem, że „na geniusza (a więc i na arcydzieło) *ex unanimi* pasuje się *consensu*. — *Unanimiter?* Ejże, panowie, czy nie zbyt wielka to utopia? A gdyby tak większością głosów? maluchny plebiscycik? Ponieważ, z biegiem czasu, większości się zmieniają, więc możeby to nie było „arcydzieło przyszłości," ale mielibyście choć „arcydzieło na dziś..."

. . . .

Biedni maniacy! Niejedno arcydzieło już się zjawiło, niejedno jeszcze się zjawi, a oni żadnego nie poznali, żadnego nie poznają. I w grób się położą, i za grobem snadź dopiero uczują, że to, co im się tu wydawało pragnieniem „arcydzieła przyszłości" i niezmordowaną za niem pogonią, było właściwie niechęcią do rzeczy doskonałych pod pozorem szukania jeszcze lepszych, było — NIENAWIŚCIĄ DO ARCYDZIEŁ.

Tredecim.

TEATR.

Reforma teatrów warszawskich. W pewnych sferach dziennikarstwa warszawskiego weszło w zwyczaj użalać się na „zbytnie rozestetyzowanie" społeczeństwa naszego. Jest to albo naiwne pomieszanie pojęć snobizmu i estetyzmu, albo — jeśli istotnie chodzi o zamiłowanie do sztuki we wszystkich jej gałęziach i o kulturę estetyczną — żart krwawy poprostu. W zakresie sztuki właśnie, Warszawa jest może najniekulturalniejszem z wielkich ognisk, wytwarzających dyrektywy dla całego kraju i wpływających na poziom duchowy całego społeczeństwa. Zbyteczna udowadniać niemiłe to twierdzenie, fakta rzucają się nawet w najoptymistyczniej zmrużone oczy i nie dostrzegać ich mogą chyba ślepi. Samo łatwe uleganie modom w tym czy owym kierunku, samo zajadłe lub szyderskie rzucanie się na każdy nowy objaw sztuki, albo też, naodwrót, bałwochwalczo-bezmyślne w proch przed nim padanie, — świadczą dobitnie, że Warszawa nie ma ani wyrobionego smaku szlachetnego, ani głębszej wrażliwości na piękno, ani gorętszych i świadomszych w sferze piękna pragnień. Zkąd-że, zresztą, miały się wziąć te wła-

ściwości, jeśli od dawnego czasu brak było wszelkich czynników, mogących oddziaływać na ich rozbudzenie i rozwój? Warszawa ma temperament, ale cecha ta, jak zawsze w sztuce, u osobników czy u zbiorowości, w dziedzinie twórczości czy też receptywności, sama przez się do niczego nie doprowadzi. Jeżeli się nie przeszło pewnej szkoły, jeżeli się nic nie wie, nic nie umie, nic nie zna, najbałamutniejsi nawet doktrynerzy, najniezgrabniejsi nawet reklamiści potrafią wszystko wmówić i wszystko wytłómaczyć. Że, aby posiąść wiedzę, umiejętność, trzeba kształcić intelekt, zdolność myślenia, to jasne każdemu. Że, aby nie już tworzyć, lecz odczuwać twórczość i artyzm, potrzeba wyrabiać w sobie smak, kształcić wrażliwość, rozwijać zamiłowanie, przejść, jednem słowem, całą równie surową jak tam dyscyplinę, temu się, niestety, po dziś jeszcze zaprzecza najspokojniej w dogmatycznych rozprawach o jakiejś sztuce, która odrazu, bez przygotowania żadnego przemawia do wszystkich, porywa wszystkich i oddźwięk znajduje natychmiastowy. Warszawa oddawna pozbawiona była wszelkiej dyscypliny tego rodzaju: z jednej strony, gorsi częstokroć od swego stada pasterze propagowali gorliwie ową schlebiającą miłości własnej utopię dostępnej wszystkim i bez wysiłku sztuki; z drugiej, stał na przeszkodzie wspomniany już wyżej brak wszelkich odpowiednich czynników. Dopiero w ostatnich czasach, prawdopodobnie jako wynik poprzednich, w zgiełku ogólnym ignorowanych lub może nawet zwalczanych czy wyszydzanych, pojedyńczych wysiłków i wpływów, nastąpił cały szereg faktów pierwszorzędnego znaczenia, które, przy odpowiednim rozwoju, mogą z czasem wytworzyć — zamiast dotychczasowych snobizmów literackich czy artystycznych, secesyjnych czy tradycyjnych — rzeczywistą kulturę estetyczną, prawdziwe zamiłowanie i znawstwo sztuki i, co za tem idzie, snadź rozkwit jej w przyszłości nieoczekiwany. W dziedzinie sztuk plastycznych — po długiej, martwotę przypominającej drzemce, skutkiem której wszyscy lepsi artyści pierzchali z Warszawy lub wyosobniali się w niej samotniczo — ruch poczyna się budzić obiecujący: szereg pięknych wystaw zaznajamia publiczność z dziełami istotnych mistrzów obcych, oraz z całemi nieznanemi lub zapomnianemi u nas odłamami sztuki (japończczyzną, akwafortą, litografią); powstają czytelnie czasopism poświęconych sztuce, pozwalające stale obserwować ruch artystyczny; miasto zaczyna myśleć o rozszerzeniu i przetworzeniu w muzeum swej tak źle umieszczonej, jakby ukrytej, i zresztą niebogatej dziś jeszcze galeryi obrazów; zapowiada się w niedalekim czasie otwarcie obliczonej na szeroką skalę szkoły sztuk pięknych; zaczyna wreszcie ściągać do Warszawy

coraz więcej dobrych artystów, którzy, wespół z kilku dawniejszymi samotnikami, reagują już zbawienne przeciwko „artystycznym“ wpływom różnych byłych humorystów i „turniejowców.“ W sferze sztuki tonów, powstaje Filharmonia z wielką i dobrą orkiestrą, udostępnia, mimo różnych wadliwości swoich, cały — nieznany, rzec można, w Warszawie — obszar muzyki symfonicznej i uzupełnia w ten sposób działalność Towarzystwa Muzycznego. W literaturze, względy artystyczne powoli przodujące zaczynają zajmować stanowisko, zwiększają się wymagania, zaznaczają różnice, podwyższają aspiracye. Teatr, nakoniec, który, skutkiem braku należytego kierownictwa artystycznego, zwolna jął przekształcać się ze świątyni sztuki w miejsce zabawy i wystawę osobliwości śpiewaczych czy aktorskich, przedsiębierze głęboką i aż do jądra rzeczy sięgającą reformę.

Wszystko to naturalnie jest w zarodku, *im Werden,* i pierwsze te kiełki dzisiaj właśnie troskliwie obserwowane i pielęgnowane być winny, jeżeli podczas wzrostu nie mają skrzywić się, skarleć lub zmarnieć zupełnie. O ile wszakże, w zakresie każdej z poszczególnych sztuk pięknych, rzeczą jest odpowiednich artystów, miłośników i krytyków otaczać należytą pieczołowitością te pierwociny odrodzenia, o tyle gotujące się zmiany w systemie teatralnym wszystkich jednako obchodzić powinny i ogólną najbaczniejszą zwracać uwagę. Teatr — wszędzie, a u nas w szczególności — szersze od innych sztuk pięknych zajął miejsce w życiu społecznem, i wpływ jego dochodzi tam nawet, kędy nie sięgają muzyka czysta, literatura książkowa i sztuki plastyczne. Tłómaczy się to jego bezpośredniejszem (jako najbliższej analogii i prawie surogatu życia,) wszechstronniejszem (przez słowo, dźwięk i wizyę razem) i realniejszem (przez żywych aktorów) oddziaływaniem. Społeczeństwo lubi przeglądać się w zwierciedle, dającem największe złudzenie rzeczywistości, i znajduje je w teatrze. A teatr, z innej strony, jako synteza wszystkich sztuk pięknych, przemawiająca jednocześnie do wszystkich stron czy rodzajów wrażliwości, do uczucia, do intelektu, do całej istoty ludzkiej, wszystkiemi naraz drogami może kształcić i rozwijać smak albo też psuć go, przyczyniać się do podniesienia albo też do obniżenia kultury estetycznej społeczeństwa. Czynnik to zatem, w sprawie rozwoju tej ostatniej, prawie decydujący, bo, sięgając do szerszych warstw, mając już zapewnione sympatye ogółu i działając wszechstronnie pod względem artystycznym, może on nawet utorować drogę wysiłkom innych poszczególnych sztuk pięknych, przyśpieszyć i ułatwić wyrobienie się dobrego smaku, zamiłowania, kulturalności

i w ich dziedzinach. Ztąd waga pierwszorzędna będącej w toku właśnie reformy teatrów warszawskich.

Słów parę naprzód o genezie doniosłego tego przedsięwzięcia. Pierwszą do niego pobudką był wzgląd czysto materyalny. Budżet teatrów warszawskich niedomagał od dość dawna. W ostatnich wszakże czasach sytuacya zaczęła pogarszać się gwałtownie — i obliczenia ostatnie w roku ubiegłym wykazały długów i niedoborów około 200000 rb. To krytyczne położenie zwróciło uwagę wyższej władzy krajowej — i z polecenia jej utworzono komitet dla zbadania przyczyn upadku i obmyślenia skutecznych środków zaradczych. Komitet, z godną najwyższego uznania sumiennością, nie zadowolił się powierzchownem zapobieżeniem deficytowi za pomocą przeróżnych oszczędności, lecz, pragnąc dotrzeć do źródła zła, kooptował do grona swego, w charakterze rzeczoznawców z głosem doradczym, szereg znanych krytyków warszawskich, z których dwaj, na propozycyę otwartego wyjawienia poglądu swego na rzeczy, odpowiedzieli obszernemi referatami: Bogusławski, w nieco przestarzały i, tu i ówdzie, po Carrière'owsku czy Kremerowsku mdło patetyczny sposób, Sygietyński — krzepko, jędrnie, wyczerpująco. W referatach tych i w dyskusyi, jaka się nad niemi wywiązała, stwierdzono przedewszystkiem kategorycznie, że powodem niedoborów były wyłącznie opera i balet; że teatr Rozmaitości pokrywa dochodem rozchody własne w zupełności, ale nie może, jak było dawniej, płacić niedoborów operowych; że, wreszcie, teatr Nowości stoi doskonale i nawet sporą przewyżką dochodów przyczynia się, acz niewystarczająco, do zmniejszenia deficytu teatru Wielkiego. Uwidocznioną w ten sposób różnicę frekwencyi w trzech teatrach warszawskich objaśniono, z dowodami w ręku, brakiem w dwóch pierwszych (Wielkim i Rozmaitości) jakiegokolwiek planu i celu artystycznego, dorywczą gospodarką opartą na „nadzwyczajnościach," na wirtuozowstwie i popisowych rolach, niedostateczną dbałością o podniesienie poziomu sceny i wyrobienie sobie przez to stałej, kulturalnej publiczności, zamiłowanej w sztuce, nie zaś w „osobliwościach," jednem słowem, brakiem, należytego kierownictwa artystycznego, oraz wynikłemi ztąd wadliwościami w zasadniczych pierwiastkach teatru, jakiemi są: repertuar, personel i wykonanie, mise-en-scène i, wreszcie, pomieszczenie. Rozpatrując szczegółowo wszystkie te złe strony dotychczasowej organizacyi i zastanawiając się gruntownie, ze stanowiska postulatów teatru wzorowego, nad reformami, jakie zaprowadzićby należało, komitet powziął, w ciągu licznych swoich posiedzeń, cały szereg uchwał,

z których większość uzyskała zatwierdzenie władzy decydującej, a kilka wprowadzono już nawet w wykonanie.

Co do opery, postanowiono zasadniczo zmienić jej organizacyę, wychodząc, zgodnie z opinią referentów, ze stanowiska: że, naprzód, konieczną jest opera stała, oparta na dobrym sił zespole i na bogatszym repertuarze, nie zaś na nadzwyczajności „gwiazd“ przejezdnych, i mogąca wzbudzać w słuchaczach zainteresowanie dla dzieła sztuki muzycznej, nie zaś dla wirtuozowstwa pojedyńczego solisty; oraz, powtóre, że, skoro opera nie jest symfonią, przez dźwięki sharmonizowane jedynie działającą, lecz dramatem muzycznym, o pewnej wyrażonej w słowach treści psychologicznej, słuszna jest, aby publiczność rozumiała, co się na scenie dzieje, t. j., aby mogła słuchać opery we własnym języku. Podzielono tedy trwający 10 miesięcy sezon operowy na dwie części: 6-miesięczną włoską, w której mogą być także dawane opery po polsku, i 4-miesięczną polską, w której wszystkie opery, czy to kompozytorów swojskich, czy obcych, mają być śpiewane wyłącznie po polsku.

Co do teatru Rozmaitości, z uwagi, iż opera i balet zabrały na wyłączny swój użytek teatr Wielki, w którym ongi grywano wymagające szerszych ram tragedye i dramaty, — komitet uznał przedewszystkiem za nieodzowne wzniesienie nowego, odpowiednio rozległego, estetycznego i wygodnego gmachu dla dramatu i komedyi. Rozpoczęto już nawet wstępne kroki w tym kierunku, zastanawiano się nad wyborem miejsca pod nową budowlę teatralną i nad sposobem jej wzniesienia: na własną rękę, czy też za pomocą przedsiębiorców prywatnych. Ponieważ kwestye te nie są jeszcze ostatecznie rozstrzygnięte, pozwolimy sobie — co do miejsca pod nowy teatr — zrobić parę uwag rzeczowych. Gmachy teatralne należą do tak zwanych budowli monumentalnych, a dla miasta korzystnem jest, jeżeli te ostatnie nie skupiają się tłumnie w mniej lub więcej ograniczonej jednej dzielnicy, lecz rozrzucone są, o ile można, równomiernie po całym jego obszarze. W skutek zwróconej na to baczności, Paryż np. ma sto ognisk ożywiających dokoła siebie całe dzielnice, podczas gdy Wiedeń, przeciwnie, cały się skupiał do niedawna w obrębie Ringów, po za któremi ciągnęły się nieskończenie długie, martwe i bezbarwne przedmieścia. Z drugiej strony, każdy gmach monumentalny zyskuje niesłychanie, jeżeli nie jest wmurowany w rząd okolnych budowli, lub choćby jednym bokiem przyczepiony do nich, lecz posiada, o ile można, swoje cztery fronty. Dla teatru ma to nadto wagę z dwóch względów kardynalnych: zapewnia większe bezpieczeństwo od pożaru i skutkiem większej liczby wejść ułatwia

zapełnianie i opróżnianie teatru. Z tych kilku punktów widzenia, idealnem miejscem dla nowego gmachu teatralnego byłaby dzielnica mająca powstać po zburzeniu szpitala Dzieciątka Jezus. I plac odpowiedni czterofrontowy tamby snadź można było znaleźć, i dzielnica zyskałaby ozdobę i ożywienie, i teatry oba miałyby większe widoki pełnych sal, niż w razie ich skupienia w okolicach ulicy Wierzbowej.

Drugą uchwałą komitetu, którą niezwłocznie w czyn wprowadzać zaczęto, jest stopniowe odnawianie personelu obu teatrów, zwłaszcza w najbardziej szwankujących drugo- i trzeciorzędnych warstwach. Usunięto z opery, baletu i Rozmaitości 83 osoby, które uznano za t. zw. nieużytki, 10-ciu osobom zmniejszono pensyę, a 49-ciu podwyższono. Nieco później zabrano się do angażowania sił nowych: do opery przyjęto parę obiecujących śpiewaczek solistek, oraz ogłoszono wezwanie do osób pragnących wstąpić do chóru operowego, aby się stawiły na egzamin odpowiedni.

Trzeciem, wreszcie, i najważniejszem z urzeczywistnionych już postanowień jest naznaczenie, dla opery i teatru Rozmaitości, kierowników artystycznych, stojących ponad reżyserami i ich pomocnikami, oraz zamianowanie dyrektora szkoły baletowej. Te nominacye są niesłychanie ważne. Kładą one kres bezplanowości, rozprzężeniu, reżyserskim rządom, oznaczają istotny zamiar podniesienia poziomu artystycznego teatrów, stwarzają osoby odpowiedzialne moralnie za ten poziom — i każą spodziewać się, że zwolna cały szereg reform systematycznych doprowadzi do należytego stanu wszystkie czynniki składowe scen obu.

Jeżeli o nominatach na trzy powyżej wymienione stanowiska sądzić z ich przeszłości, oraz z nieodzownych naturalnie *interview*'ów, to największy, zda się, los wygrała opera. P. Emil Młynarski jest, mimo pewnej naśladowczości i zbytniej niekiedy uległości względem opinij specyalnie warszawskich, muzykiem bardzo kulturalnym, kapelmistrzem (gdy chce) wyśmienitym, organizatorem zręcznym, umiejętnym i szczęśliwym. Wystawienie dobre kilku nowych oper, wznowienie koncertów symfonicznych w teatrze Wielkim, współudział znaczny przy organizowaniu Filharmonii, oraz nader szybkie doprowadzenie świeżo sformowanej orkiestry do bardzo poważnych rezultatów — oto zasługi jego w przeszłości. Plany na przyszłość, na nowem stanowisku artystycznego kierownika opery, są niemniej obiecujące: interview'ującym go o nie dziennikarzom wynurzył się p. Młynarski, że głównem staraniem jego będzie wytworzenie stałej opery, o stałym, doskonale zespolonym personelu, oraz jak

największe zbogacenie repertuaru. „Marzę o tem,“ rzekł, „aby w repertuarze opery warszawskiej znajdowały się wszystkie arcydzieła, dawane na scenach zagranicznych, aby publiczność nasza poznała najcelniejsze opery wszystkich narodów...“ Twórczość polskich kompozytorów ma naturalnie w planach nowego kierownika zapewnione miejsce pierwszorzędne. Piękne i szerokie to zamiary, o których stopniowem urzeczywistnieniu nie mamy powodu powątpiewać, wnioskując z pokaźnych rezultatów, osiągniętych przez p. Młynarskiego, mimo niezupełnie sprzyjających warunków i w dość krótkim stosunkowo czasie, na polu muzyki symfonicznej, w Filharmonii.

Jak się ostatecznie ukształtuje sprawa kierownictwa artystycznego w dziedzinie dramatu i komedyi, dotychczas niewiadomo napewno. Obaj wspomniani referenci, wskazując, że, dla podniesienia poziomu sztuki w teatrze Rozmaitości, koniecznem jest przeniesienie punktu ciężkości z aktorstwa do literatury, doradzali zamianowanie kierownikiem artystycznym „literata-estety, z władzą w zakresie układania repertuaru, tworzenia całokształtu sztuki i dobierania sobie odpowiedniego materyału aktorskiego.“ W ostatnim razie, „z uwagi na trudność znalezienia człowieka odpowiednio uzdolnionego i wykształconego,“ proponowali „powierzenie kierunku dwóm ludziom, z których jeden zarządzałby repertuarem, a drugi artystyczną stroną przedstawienia.“ Stroną techniczną zajmowałby się podporządkowany tym kierownikom aktor-reżyser. Ale w rozprawach, które się wywiązały na tle referatów, zarysowało się odrazu, jak opowiada jeden z referentów, obok tego sięgającego do głębi rzeczy poglądu, inne zapatrywanie, w którem „biorąc głównie pod uwagę finansowy stan teatru, oglądano się za kierownikiem, znającym przedewszystkiem rzemiosło teatralne i umiejącym to rzemiosło z handlowym sprytem wyzyskiwać.“ Jaki był ostateczny wynik dyskusyi, trudno wiedzieć napewno, w obec sprzecznych pogłosek. Postanowiono rozdzielić funkcye kierownika między dwie osoby, ale w zawieszeniu pozostała, zda się, kwestya, czy „główny reżyser połączonych scen Rozmaitości i Nowości“ będzie podlegał dyrektorowi artystycznemu dramatu, czy też, naodwrót, będzie miał tylko do pomocy dodanego sobie dramaturga, którego obowiązkiem będzie gromadzenie materyałów do repertuaru z twórczości swojskiej i obcej. Dotychczas mianowany został tylko ów główny reżyser, w osobie p. Ludwika Śliwińskiego. Z punku widzenia artystycznego, mamy tu znacznie mniejsze gwarancye, aniżeli w operze dzięki nominacyi pana Młynarskiego. P. Śliwiński, w ciągu dwunastoletniej swojej działalności, wyratował teatr Nowości z upadku finansowego i artystycznego i dał dowody,

że jest dzielnym, energicznym i obrotnym reżyserem. Nie zapominajmy jednak, że teatr Nowości jest przedewszystkiem miejscem zabawy, gdzie wystarcza trafianie do bieżących (i nie najlepszych) gustów publiczności, i skutkiem tego, biorąc ściśle, stoi już na rozgraniczu sztuki dramatycznej i... tynglu. W teatrze Rozmaitości nie o zabawę chodzi, lecz o prawą sztukę, nie o zadowolenie widza z wesoło spędzonego wieczoru, lecz o kulturę estetyczną. W teatrze Nowości, p. Śliwiński dostarczał publiczności doskonale wyrobionych zabawek, w teatrze Rozmaitości będzie musiał dawać dzieła sztuki. Czy temu podoła? Nie chcemy powątpiewać z góry, tem bardziej, że p. Śliwiński, w przemowie do personelu po swojej nominacyi, powołał się na swą „miłość sztuki i gorące pragnienie służenia jej." Te, o ile są głęboko szczere i o ile połączyć z niemi pracę, wytrwałość i energię, dziwa czasem zdolne są czynić.

Trzeci nominat, p. Walczak, zamianowany został dyrektorem szkoły baletowej, zgodnie z propozycyą p. Sygietyńskiego, który, stawiając ją (zresztą, nie bez zastrzeżeń), musiał opierać się na dokładnej znajomości kwalifikacyj swego kandydata.

Wszyscy trzej kierownicy rozpoczynają dopiero swoją działalność. Z krytyką jej poczekać jeszcze należy, gdyż bardzo naturalnem jest, że przy pierwszych krokach muszą się zdarzać błędy i upadki, które zwolna w dalszym ciągu usunięte być mogą. Natomiast, ponieważ z każdego roztrząsania wybłyska zawsze trocha światła, nie od rzeczy będą może pewne ogólne spostrzeżenia o zasadniczych czynnikach każdego teatru (repertuarze, wykonaniu i wystawie.) O ile przydadzą się one w czemkolwiek panom kierownikom, układającym zapewne w tej chwili plany przyszłych kampanij, — szczęśliwi będziemy.

(Dok. nastąpi.) Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYE. — Otokar Brzezina. *Ruce.* Kresbami doprovazi Frantiszek Bilek. Praha. Nakladem vlastnim. — Grzegorz Cicimirski. *Preludye poetyckie.* R. Krabbe. Kraków. — Wiktor Gomulicki. *Wiersze. Zbiór nowy.* Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Em. szl. z Leszehradu. *V dnech szerych.* E. Weinfurter v Praze. — Edward Słoński. *Do Boga.* Warszawa. — Lucyan Rydel. *Poezye.* Wende, Warszawa; Friedlein, Kraków. — Jerzy Żuławski. *Poezye.* Friedlein, Kraków; Wende, Warszawa.

POWIEŚĆ. — Paweł Bourget. *Widmo* Tom I i II. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Adolf Dygasiński. *Margiela i Margielka.* Fiszer. Warszawa. — Stefan Krzywoszewski. *Pani Jula.* Biblioteka dzieł wybor. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Pisma,* tomy XXXII i XXXIII. Tygodnik Illustr. Warszawa. — Trzaska. *Panna Żabińska.* Gebethner

i Wolff. Warszawa. — Juliusz Zeyer. *Jego i jej świat.* Biblioteka dzieł wyborowych Warszawa.

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. — Dr. Zdeniek Nejedly. *Zdenko Fibich.* Praha. — Julian Adolf Święcicki. *Historya literatury powszechnej*, tom III. *Literatura Arabska.* Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Tadeusz Trzciński. *Kosmozoficzne poglądy Mickiewicza.* Odbitka z „Ateneum". Warszawa.

HISTORYA. — Eugeniusz Mottaz. *Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre.* Tom I i II. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Jan Zahorski. *Dzieje Polski chronologicznie ułożone.* Premium Biesiady Literackiej. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski*, tom III, zeszyt X. *Uzupełniena*, zeszyt I.

SZTUKI PLASTYCZNE. — Frantiszek Bilek. *Otcze nasz!* Uvod napsal Otokar Brzezina. Novy Život. Novy Jiczin. — Maryan Wawrzeniecki. *Dławce. Drobny przyczynek do historyi sztuki warszawskiej w epoce powitkiewiczowskiej.* Kraków. 1901.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Dr. Mercier. *Kryteryologia.* Przegląd Filozoficzny. Warszawa. — Prof. William James. *Nałóg.* Tłomaczył Dr. R. Radziwiłłowicz. Warszawa. Przegląd Filozoficzny.

VARIA. — Tadeusz Korzon i St. A. Kempner. *Handel w przeszłości i w stanie dzisiejszym świata.* E. Wende. Warszawa. — E. M. Witoszyński. *Reforma klassicizma.* Warszawa. — Dr. Aleksander Fabian. *Z nauki o życiu.* E. Wende. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa). Sierpień, wrzesień, październik 1901. — Józef Kallenbach: *Z nieznanych rękopisów Zygmunta Krasińskiego.* — Tadeusz Konczyński: *Śladem tęsknoty.*—Adam Miodoński: *Na przełomie dziejowym.*— Mags: *Na tarasie.*—Stanisław Witkiewicz: *Aleksander Gierymski.* — Marya Konopnicka: *Pan Balcer w Brazylii*, — A. Brückner: *Bogurodzica* — Adam Darowski: *Dwa dni w Pompei.* — Romanus: *Kronika rzymska.* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. (Praha). Svazek cztvrty 1901. — Dr. Z. Nejedly: *Alois Jirasek.* — F. Dvorsky: *Nove zpravy o Tychonu Brahovi a jeho rodinie.* — J. Kamper: *Julius Zeyer.* — Prof. B. V. Spiess: *K životopisu Jana Kocina z Kocinetu.* — *Hlidka literarni.* — *Zpravy knihopisne.* — *Zprava o Museu Kral. Czeskeho.* — *Zprava o Matici Czeske.*

DIE INSEL. (München). August, September 1901 —H. von Hofmannsthal: *Gestern; Der Triumph der Zeit.* — M. Behmer: *Zwölf Zeichnungen.* — R. Borchart: *Saturnische Elegie. Sechs Sonnette. Heroische Elegie. Gedichte.* — Kuniyoshi: *Zwei Zeichnungen.* — C. Brentano: *Die Rose* — R. Walser: *Sechs kleine Erzählungen Schneewitchen.*—R. A. Schröder: *Elegien Invitation.* — F. Nietzsche: *Aus „Umwertung aller Werte."* — F. Hölderlin: *Gedicht.* — *Anmerkungen.*

KRYTYKA. (Lwów). Sierpień—wrzesień 1901. — Marya Konopnicka: *Tęsknota* — Henryk Zbierzchowski. *Rzeka. Wniebowzięcie.* — Wł. Wankie: *Nasi artyści na wystawie sztuki w Monachium.* — Edward Leszczyński: *Kołysanka. Z poematu: Wieczny tułacz.* — Adolf Nowaczyński: *Stefan Żeromski.* — Ludwik Szczepański: *W dawną, dawną noc jesienną.*—Juhani Aho: *Matka.* — Ign. Sęp: *Octave Mirbeau.* — D. mol: *Śniło mi się.*—Jan Sten: *Or-ot.*

KSIĄŻKA. (Warszawa). Sierpień, wrzesień 1901. — Wł. Jabłonowski: *Nasze tłómaczenia:*—*Krytyka.* — *Polemika.* — *Nekrologia.* — *Kronika.* — *Kuryer księgarski.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin). Nr. 21—24, III Jahr und Nr. 1, IV Jahr 1901 — K. Strecker: *Theatrokratie* —A. Brunnemann: *Anatole France.*—C. Busse: *Agnes Miegel.* — B. Wille: *Helene Voigt-Diederichs.* — A. Miegel: *Gedichte.* — Kurt Aram: *Auslandsdramen in deutscher Sprache.* — F. von Zobeltitz: *Die Exlibris.*—J. Minor: *Neues von Marie Ebner.* — O. F. Walzel: *Zwei Ebner - Biographieen.* — L. Berg: *Nietzsche-Schriften.* — E. Holzner: *Antikisierende Dichtung.* — K. W. Goldschmidt: *Schlesien.* — A. Warneke: *Wilhelm Raabe.* — F. W. v. Oestéren: *Eine Kritische Frage.* — G. Kühl: *Gedichte.* — E. Bertz: *Weltanschanungen.* — *Neue Brief-Sammlungen (Lichtenberg, Schiller - Humboldt, Hebbel.)* — J. E. Poritzky: *Das Kind in der Litteratur.* — A. Brunner: *Vom Romandialog.* — E. Schrader: *Neutürkisches Schriftthum.*—C. V. Susan: *Dante-Uebersetzungen.* — O. J. Bierbaum: *Wo stehen wir?* — M. Meyerfeld: *George Moore.* — G. Hermann: *Moderne Thierfabeln.* — T. Schäfer: *Hessische Dorfgeschichten.* — *Neue Essais (E. Schmidt, F. X. Kraus, W. Bölsche).* — W. Holzamer: *„Sein letztes Hochamt“.* — F. W. v. Oestéren: *„Drei Thierfabeln“.*—*„Litteratur und Ueberbrettl“.*—*Echo der Zeitungen. Echo der Zeitschriften. Echo des Auslandes. Echo der Bühnen. Kurze Anzeigen.*

LUMIR. (Praha). Czisla: 41—46. 1901. — E. Stoy: *Navsztieva* —J. Opolsky: *Miniatury.* — K. Baczkovsky: *Srdce dobre vule.* – J. Holeczek: *Houzir.* — V. Hladik: *Evzen Voldan.* — K. Dostal: *Podivnie lesy szumi... Smutek.* — T. Dubrovská: *Aż budesz unaven... Ty rad mne nemasz.* — J. Osten: *Alois Jirásek.* — A. B. Dostal: *Z basni.* — F. S. Holeczek: *Pod jhem cizi viny.* — L. Veltrusky: *Ver sacrum. Finale.* — J. Richepin: *Svata slza.* — J. Boleszka: *Vszelicos o A. Dvorzakovi.* — M. Silen: *Z basni.* — Fr. Evers: *Raje,* a P. Verlaine: *Piseń jesenie* (przel. A. Breska.) — *Feuilleton (Literatura, Divadlo, Hudba, Vytvarne umieni).*

MERCURE DE FRANCE. (Paris). Août, septembre, octobre 1901. — Remy de Gourmont: *Le Succès et l'Idée de Beauté. La Jeune Fille d'Aujord'hui.* — André Fontainas: *Anniversaire.* — Virgile Josz: *Le Centenaire de Richard-Parkes Bonnington.* — Georges Polti: *Le Livre des Secrets.* — Leon Charpentier: *Les Transmigrations de Yo - Tchéou.* — Fernand Severin: *Poèmes.* — Edmond Barthèlemy: *Thomas Carlyle et la Democratie.* — Albert Delacour: *Le Pape Rouge.* — Jules de Gaultier: *De la nature de Vérités.* —A. Ferdinand Herold: *Allégories sentimentales.*— Pierre Quillard: *Adolphe Retté.* – Emile Despax: *Poèmes.* — Marius Ary Leblond: *Leconte de Lisle avant la Révolution de 1848.* — Raoul Chélard: *De l'impossibitité d'une alliance politique et de la nécessité d'une alliance intellectuelle avec la Hongrie.* — Gaston Danville: *L'amour magicien.* — Frank Harris: *Confession.* — William Morris: *Les Buts de l'Art.*—Jean Mélia: *l'Enfance amourouse d'Henri Beyle.*— Revue du mois.

MODERNI REVUE. (Praha). Zarzi 1901. — Victor Dyk: *Privilegium.* — Josef Holy: *Literarni Konfesse.* — V. Dyk: *Kritika trha.* — Titulni list a obsah celeho roczniku.

NOVY ZIVOT. (Novy Jiczin). Czis. 1—7. 1901 — H. S. Baar: *Kohouti.* — Dr. A. Lang: *Abaelard.* — S. Bouszka: *Zivot T. Aubanela.* — M. Kavanova: *O viernosti aż do konce.* – J. Merhaut: *Z romanu „Pożar“.* — K. Dostal Lutinow: *Za Juliem Zeyerem; Kde kvietou citrony; Kapitoly o przechodech.* — Ot. Brzezina: *Uvod k Bilkovu Otczenaszi.*—V. Nejdl: *Procz se intelligence odvraci od nabożenstvi?* — *Basnie* od: J. Zeyera, J. Merhauta, K. Sylvy, O. Brzeziny, F. Leubnera, E. Hrubeho, L. Laurin-Ratolského. J. Karnika, Z. Tlamicha, K. Dostala Lutinova. — *Forum.* — *Vyobrazeni* od: V. Foerstera, B. Jarońka, M. Pirnera, F. Bilka, H. Emingrove, Ot. Paury, M. Alesze, C. Mandela, A. Muchy, M. Szvabinskeho, F. Kavana, A. Kalvody, K. Z. Wellnera, F. Jeneweina.

THE OUTLOOK. (London). № 179—192. 1901. — *Ibsen in his poems.* — *Paderewski and some music.* — *For fictionists and others.* — *Poets at Dalston.* —

'Art in the 'East 'End. — The brand of Caine. — Shilling Wagner. — A Bohemian Bunyan. — Eric Mackay, Poet. — Mr. Carton's „Undercurrent". — Michael Henry Dziewicki: *Czolgosz. (By a Pole). — The new Pinero. — Sir Edwin Arnold's „Ithobal". — Mr. Archer's thirty two. — Verses. Short stories. Reviews. Literary Gossip. A first glance at new books.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Zeszyt III. 1901. — Dr. Wł. Heinrich: *O metodologii nauk,* — E. Abramowski: *Dusza i ciało.* — Bolesław Biegeleisen: *Rozwój pojęcia ruchu w mechanice. — Przegląd krytyczny. — Przegląd systematów współczesnych — Autoreferaty. — Sprawozdania. — Przegląd czasopism. — Wiadomości bieżące. — Bibliografia.*

PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. (Lwów). Lipiec, sierpień 1901. — Dyonizy Zaleski: *Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego.* — Piotr Chmielowski: *Najnowsze prądy w poezyi naszej* — Wojciech Dzieduszycki: *Rzecz o uczuciach ludzkich.* — Ks. Jan Sygański: *Dawne zabytki dziejowe Nowego Sącza.* — Dr. Wiktor Hahn: *Bibliografia o Juliuszu Słowackim za rok 1899. — Kronika literacka.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma). Luglio, Agosto, Settembre 1901.— Vittorio Pica: *Leonardo Bistolfi.* — Giulia Daudet: *L'infanzia d'una Parigina.* — Sem Benelli: *La IV Esposizione d'Arte a Venezia; Rassegna Italiana.* — G. Eekhoud: *Rassegna Belga.* — Cesare Levi: *Cronaca Dramatica; Una commedia antisemita.* — Enrico Corradini: *Dell'insegnamento classico in Italia; Nota sopra un'intervista.* — Giulio de Frenzi: *Ugo Ojetti.* — Grazia Deledda: *Il servo.* — Remy de Gourmont: *Rassegna Francese.* — Amy A. Bernardy: *Rassegna Nord-Americana* — J. M. Palmarini: *Note d'occasione; Di lá dal muro.*—Pompeo Gener: *Don Chisciotte e Sancio Panza.* — Guido Gasperini: *Lorenzo Perosi; Camillo Saint - Saëns.* — Mario Morasso: *Il quadro moderno.* — Carlo Zangarini: *La bontà della musica.* — Luciano Zuccoli: *Letteratura grigia.* — Lucio d'Ambra: *Paul e Victor Margueritte.* — Riccardo Quintieri: *Un prologo inatteso.* — Gilmo Cappello: *Un precursore di Leone Tolstoi.* — Jolanda: *Il Vincitore. — Appunti bibliografici. — Notiziario generale. — Riviste e Giornali.*

THE REVIEW OF REVIEWS. (London). 15 Jan.—15 Aug. 1901. — *The Reviews reviewed. — Books of the month. — Art in the Magazines. — Leading articles in the reviews. — List of the leading contents of current periodicals.*

LA REVUE D'ART DRAMATIQUE. (Paris). Juillet, septembre 1901. — L. Henry Lecomte; *Histoire des Théâtres.* — Tor Hedberg: *Gerhard Grim* — Alla: *Projet de théâtres populaires.* — V. Mandelstam: *Le Lévite d'Ephraïm.* — G. Van Hasselt: *Acteurs du temps jadis: Vernet.* — Jane Misme: *Théâtres d'amateurs.* — Osman Edwards: *Les Reines en Exil.* — J. Kont: *La saison en Hongrie.* — Jan Lorentowicz: *L'opéra en Pologne.* — S. Raffalovich: *Tchékoff et le théâtre artistique. — Théâtres: Paris. Province. En plein air. Etranger* (Lorentowicz: *Manru de Paderewski). — Livres. — Musique. — Illustrations: Portraits de Paderewski et de Sybil Sanderson.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris). Août, septembre, octobre 1901. — Gust. Toudouze *Bretonnes des Côtes.* — Jean Lorédan: *A la Course! Fin de Jour.* — Maurice Griveau: *La protection du Paysage.* — Marc Legrand: *Les Disparus. La Borne.* — A. Parodi: *Idéalisme.* — Patrick Geddes: *L'Exposition de Glascow.* — E. Raynaud: *Alexandre Seon, peintre.* — Jean Bach-Sisley: *Sur le Lac.* — Octave Mirbeau: *M-lle Palla.* — Léon de Rosny: *Un Empereur qui fait fumer les cheminées.* — E. Martin-Videau: *Résignation. — Bibliographie. — Illustrations.*

REVISTA NATURISTA. (Rio de Janeiro). II—Tomo primeiro—I, 1901.—Elysio de Carvalho: *O ensino da Esthetica; O theatro heroico et social.* — Eugène Montfort: *Litteratura religiosa.* — Rocha Pombo: *O Precursor.* -- Dom. Ribeiro Filho: *Pri-*

meira Epistola a Elysio de Carvalho. — Joachim Gasquet: *Le Style.* — Louys de Démétrios: *Chronica Parisiense.—Chronica dos Livros.—Chronica das Revistas.—Echos.*

SRDCE. (Žamberk). Czislo 1, zarzi 1901.—V. Othomar: *Nasze poslani.*—J. Opolsky *Stara ukolebavka; Interregnum.* — O. Theer: *Karla.* – F. Soldan: *Odcizeni; Aż; Jsme jesztie przilisz; Odysseus.* — K. Rożek: *Zbyteczny život,* — J. S. Holy: *Fragment; H. W.* — K. B Englich: *Soustrastne stiny noci.* — O. Zenith: *Milenka.* — Jan z Wojkowicz. *Vzdech; Smutna bilance.* — E. szl. z Leszehradu: *Naszi moderni kritikove.*— K. R.: *Proti tak zv. krvavym romanum.* – *Kritika. Literatura. Divadlo.* — *Morava Slezsko. Slovensko.* — *Drobne zpravy.*

THE SPECTATOR. (London). № 3817—3821. 1901 – Books: *Prof. Tyrrell's Latin Anthology.* — *Songs of Lucilla.* — *The life and literature of the ancient Hebrews.* — *A commentary upon „In Memoriam"* — *Mediaeval Egypt.* — *The early age of Greece.* — Music: *The Gloucester Festival.* — Current literature. — Publications of the week.

TYGODNIK ILLUSTROWANY (Warszawa). №№ 30—41. 1901. C. Walewska: *Jak liść oderwany od drzewa.* — W. Sieroszewski: *Jang-Hun-Tsy.*— Wł. St. Reymont. *Przed świtem.* — J. L. K.: *Zazdrość.* — Sewer: *W lesie.—Poezye:* K. Glińskiego, W. Gomulickiego, W. J. Gryfa, M. Konopnickiej, Liliany, J. Łętowskiego, Wł. Nawrockiego, Or-Ota, B. Ostrowskiej, W. Wolskiego. — W. Jabłonowski: *Antagonizmy zaściankowe; Filip z Konopi.* — Piotr Chmielowski: *Stanisław Potocki jako felietonista.* — Wł. Mickiewicz: *Pamiątki polskie w Paryżu.* — *Kroniki. Sprawozdania. Ryciny.*

WIENER RUNDSCHAU. (Wien). №№ 15—17, 1901. — Baronin E. Gumppenberg *Das Wesen des Opfers.* — Carl Vick: *Psychografologie.* —David Sprengel: *Sigbjörn Obstfelders „Tagebuch eines Geistlichen".* — Odilon Redon: *„Le Bouddha".* — Emil Lucka: *Zur Symbolik in Wagners „Parsifal".* — Albert Kniepf: *Francis Bacons und Shakespeares Astrologie.* — Charles Algernon Swinburne: *Meleagers Tod.* — Th. Achelis: *Wilhelm Wundt.* — Ludwig Kuhlenbeck: *Kypris oder die Geschlechtsliebe im Lichte der Descendenz-Theorie.* — *Rundschau: Der Unterschied im Wesen des physiologischen und geometrischen Raumes. Eine Consequenz aus der Lehre vom psychophysischen Parallelismus. Kants Bedeutung für die Musik-Aesthetik. Das Bewusstsein der Aussenwelt. Ueber beschreibende Musik. Bölsches „Liebesleben in der Natur". Das Buch Zohar. Ernst Häckel und der Spiritismus.*

WISŁA. (Warszawa). Lipiec—Sierpień 1901. — Jerzy Iwanowski: *Betlejki w powiecie Lidzkim, gub. Wileńskiej.* — W. Bogumiła Cichomska: *Mazury z pod Kamienia.* — E. Majewski: *Pszczoły w pojęciach i praktykach ludu naszego.*—Ignacy Radliński: *Apokryfy judaistyczno-chrześciańskie.* – Salomon Reinach: *Archeologia celtycka.* — St. Kościałkowski: *Pieśni ludowe z powiatu Sokólskiego.* — Stanisław Ciechanowski: *Pieśni śląskie z okolic Cieszyna.* — Stanisława Sawicka: *Bajka o Paluszku..* — Jan Fr. Magiera: *Papaje a Wilamowicanie.* — *Poszukiwania.* — *Sprawozdania i krytyka.* — *Przegląd czasopism.* — *Drobiazgi ludoznawcze.* — *Różne wiadomości.* — *Książki i czasopisma, nadesłane do redakcyi.* — *Bibliografia.*

DIE ZEIT. (Wien). №№ 355—366, 1901. — Dr. L. William Stern: *Machs Analyse der Empfindung.* — Josef Diner-Denes: *Die moderne ungarische Novelle.* — Alexander Bródy: *Frau Rubens.* — Johannes Schlaf: *Ein gothischer Dramatiker* — Richard Muther: *Die Denkmalseuche; Brügge.*—Maxim Gorki: *Ueber den Schrisfttellen, der sich zu viel einbildete.* — J. C. Poestion: *Die nordgermanischen Sprachen.* — Sigismund Morawski: *Der Faun* — Leonhard Adelf: *Liliencrons Prosa.* — Multatuli: *Ein Theeabend bei Frau Petersen.* — Erich Klossowski: *Barockmalerei in Prag.* — Ernst Heilborn: *Georg v. Ompteda.* — G. Courteline: *Er und sie.* — Max Meyerfeld: *„Evelyn Innes" und ihr Dichter.*—Bruno Wille: *Hinter der Weltstadt.* —

Dr. W. Bode: *Das Geniessen von Kunstwerken nach Goethes Lehren.* — Franz Kranewitter: *Grossvaters Zopf.* — Dr. M. Hoernes: *Die Anfänge der Kunst und die Kunst der Griechen.*—Dr. Max Koch: *Neueste Dichtungen von Arthur Schnitzler.* — Felix Vogt: *Willy.* — Willy: *Die Solognotte.* — Dr. P. Barth: *Eine Kritik der Sprache.* — Ernst Heilborn: *Wilhelm Raabe.* — Jonas Lie: *Auch eine Liebe.* —Eduard Platzhof: *Karl Spitteler.* — Lothar v. Kunowski: *Zur Reform der bildenden Kunst* — Gräfin Salburg: *Betrachtungen eines Hochgeborenen.* — Dr. Friedrich Graz: *H. G. Wells.* — K. E. Schmidt: *Der Nachruhm des Malers.* — Max Burckhard: *König Harlekin; Hanna Jagert; Der Schatten.* — H. G. Wells: *Das rothe Zimmer.* — Rudyard Kipling: *Namgay Doola.* — Dr. Julius Wiesner: *Goethes Urpflanze.* — Gabriele Reuter: *Ein Kinderbuch für Erwachsene.* — Paul Heyse: *Eine venezianische Nacht.* — *Die Woche.* — *Bücher.* — *Revue der Revuen.*

ZVON. (Praha). Seszity 13—26. 1901. — *Basnie:* — od B. Adamka, E. Alberta, J. Boreckeho, K. Czervinky, X. Dvorzaka, J. Haasze, A. Heyduka, R. Jesenske, B. Kaminskeho, A. Klaszterskeho, L. Krzikavy, E. Polaka, F. S. Prochazky, F. Sekaniny M. Silena, J. V. Sladka, F. X. Svobody, J. Vetterovskeho, Jana z Wojkowicz, K. Vrby, J. Vrchlickeho. — *Przeklady:* z Baki a z Campoamora. — K. V. Rais: *Sirotek.* — M. A. Simaczek: *Laczne srdce.*—R. Jesenska: *Daleke obzory.*—A. Jirasek: *Tomasz Famfule.* — O. Fiszerova: *Rużenec.* — J. Vrchlicky: *Giosuè Carducci.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Vytvarne Umieni. Tyden.*

VARIA.

List artysty. Szanowny Redaktorze! Podpisanemu, wobec gwałtownie prowadzonej *roboty* i rozwijającej się *mody,* nasunęły się poniżej załączone pytania:

1) Dla czego ci, którzy nie widzą „zakończenia dachowego“ w Proszowicach, Skalbmierzu, Pińczowie, Działoszycach, Wiślicy, Bodzentynie, Olkuszu, Sławkowie i t. d., *widzą* i podziwiają „pazdur“ w Zakopanem?

2) Dla czego ci, którzy niczem nie przyczynili się do poznania własnego kraju (okolicy) i nigdy nikomu poznania tego nie ułatwili, nagle, nie znając tego, co u siebie posiadają, rozpalają się do wszystkiego, co zakopiańskie?

3) Czy można i czy należy przed dokładnem zbadaniem tego, co z zabytków drewnianego budownictwa pozostało u nas w Królestwie, agitować i zmuszać do przyjęcia sposobu, który zachował się lub raczej sztucznie odnowił na najdalszych kresach dawnej Polski?

4) Czy kresy te, dla tego, że zamknięte ścianą Tatr, doprawdy uchowały się od wszelkich wpływów?

5) Czy jednak nie należałoby, *ot tak sobie,* poznać materyały dotyczące zabytków naszego budownictwa drewnianego, zebrane już wcześniej nieco przez Jana Matejkę (chociażby Tygodnik Illustrowany 1866-7), Józefa i Ludwika Łepkowskich (rysunki Du-

draka w Gab. Arch. Uniw. Jagiell.), Zygmunta Glogera, A. Głębockiego (bardzo ciekawe), przejrzeć teki Pawła Podczaszyńskiego, A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego, papiery i notaty po Władysławie Łuszczkiewiczu? Przeszukać pisma ilustrowane, a nawet roczniki „Wisły“?

6) Czy ogniste zapały dla „stylu zakopiańskiego“ *nie stoją w nieco rażącej sprzeczności z chłodną obojętnością dla Wystawy Etnograficznej* (Muzeum Przemysłu) *i badającej lud, jego zwyczaje, budownictwo i ornamentacyę* „Wisły“?

7) Czy w całej tej sprawie nie należałoby zachować wielkiej *ostrożności*, ze względu, że mamy do czynienia ze społeczeństwem bardzo *niekulturalnem* na tem polu, i że zbyt gwałtowny nacisk w tym jednym kierunku może łatwo *indywidualności* i *twórczości* wyrządzić niepowetowaną szkodę. Jeżeli p. Witkiewicz w motywach zakopiańskich znalazł właściwe pole dla rozwinięcia swego talentu, to możemy temu tylko przyklasnąć, — gorąco jednak zastrzedz się musimy przeciwko narzucaniu „odrodzenia“ wyłącznie Zakopiańskiego każdej indywidualności bez różnicy — swoboda twórcza musi być utrzymana w całej sile.

Warszawa. 19. XII. 1901. Maryan Wawrzeniecki.

Jubileusz czterowiekowego istnienia artystycznej, książkowej poezyi i literatury chorwackiej święcono śród ogólnego zapału w Zagrzebiu. W obchodzie uroczystym, związano imiona *Marka Marulića* ze Spletu, który, może z mierniejszym talentem, ale za to wyprzedzając co do czasu sławną plejadę dubrownicką, napisał, w r. 1501, pierwszy poemat w języku narodowym, — oraz *Augusta Szenoi,* jednego z największych odrodzicieli ducha i piśmiennictwa chorwackiego w stuleciu minionem. Na wielkie to święto narodowe zaproszono gości z całej Słowiańszczyzny. Polaków przybyła spora garstka, a telegramów polskich z życzeniami przysłano nader wiele, tak, że w dziennikach zagrzebskich ozwały się głosy nawołujące do „wzajemności polsko-chorwackiej.“ Objaw to bardzo pocieszający, dotąd bowiem, wbrew zaleceniom chorwackiego panslawisty z XVII w., Jerzego Križanića: „cum Lechis potest nobis esse foedus vere fraternum propter linguae et morum similitudinem,“ i pomimo owocnej działalności Bronisława Grabowskiego, — względnie mało nad Sawą i Drawą mieliśmy przyjaciół.

Katedra płocka pozyska, zda się, piękną, istotnie artystyczną polichromię wewnętrzną. Sędziowie wyznaczonego w tym

celu cichego konkursu przyznali pierwszeństwo projektom prof. Józefa Mehoffera z Krakowa, poważnego i twórczego artysty, autora wspaniałych witraży w katedrze fryburskiej, oraz bogatej dekoracyi skarbca w katedrze krakowskiej. Po tylu haniebnych tandetach, jak odnowienie fresków w krakowskim kościele św. Krzyża, jak pomnik Mickiewicza, jak sławetne rzeźby i, zwłaszcza, malowidła w Filharmonii; po tylu konkursach artystycznych, przy rozstrzyganiu których grały rolę wszelkie inne — prócz artystycznych — względy, rezultat konkursu płockiego jest czemś tak niezwykłem i pocieszającem, że z uznaniem najgłębszem wymieniamy skład grona sędziowskiego, do którego należeli: biskup płocki ks. Szembek, Adam Badowski, Antoni Brykczyński, Józef Dziekoński, Miłosz Kotarbiński, ks. Nowowiejski, Stefan Szyller i Stanisław Tomkowicz. Bodajby *czyn* ten kulturalny i obywatelski był dobrym i skutecznym przykładem dla wszystkich nadal *jury* i komitetów artystycznych.

Feliks Jezierski po długiem, pełnem wnętrznie i owocnem życiu, zmarł w Warszawie prawie w zapomnieniu. Obojętne wzmianki i suche pism jego wyliczenia oznajmiły o tem w czasopismach ogółowi. Dwóch tylko poetów z gorącością pożegnało go należną: W. Gomulicki, święcąc serdeczne, wzruszenia głębokiego pełne wspomnienie ukochanemu przewodnikowi i nauczycielowi, oraz A. Lange, energicznie i ze czcią zaznaczając wielką prac jego wartość. A prac tych i zasług mnogość była i rozmaitość, bo szeroki, renesansowy jego duch nie mieścił się w ramach jednego zawodu czy powołania. O ile praktyczna strona życia obojętną mu zawsze była, o tyle wszystko, co ma związek z duszą, z twórczością, obchodziło go jednako. Znakomity pedagog, bez cienia pedantyzmu i szablonu, umiejący rozwijać, kształtować dusze i ku wysokim, szlachetnym zwracać je rzeczom, — był jednocześnie doskonałym poetą (same tak wysoce *twórcze* przekłady już mu do tytułu tego zaszczytne dają prawo); głębokim i własnemi zawsze drogami chodzącym myślicielem; miłośnikiem wielkim i mocarzem języka, który nietylko znał, lecz i czuł nawskroś; znawcą wybornym całego obszaru literatur świata, czcicielem prawym wielkich arcytworów poezyi, umiejącym, w słowie czy piśmie, wydobywać na jaw i oświetlać wszystkie ich piękności; człowiekiem, wreszcie, niesłychanie szerokiej kultury i, skutkiem tego, redaktorem nieocenionym *(Biblioteka Warszawska,* za jego redakcyi, miała, pod względem literackim, najpiękniejszą może dobę). Nadewszystko wszakże, podnieść w Jezierskim i uwielbić należy wielką, szczerą prawość artysty i uczonego, tem bardziej,

że właściwość to dzisiaj tak rzadka, niestety. Jezierski nie napisał nigdy, ani powiedział nawet („skąpy był i ostrożny w słowach,“ powiada Gomulicki) czegoś, czego dokładnie nie poznał, nie przemyślał, nie wyczuł do głębi. Nie robił nic na pokaz, dla zysku, sławy lub pozy. O sobie zdawał się zapominać zupełnie, oddany zawsze bezinteresownie, całem jestestwem temu, co ukochał i przedsięwziął. A ta pogoń wieczna za możebnie najwyższą doskonałością! Do mistrzowskich swych przekładów po ileż razy powracał, z jakąż troskliwością konfrontował je jeszcze i jeszcze i z oryginałem, i z innemi tłómaczeniami, by jak najgłębiej sięgnąć w umiłowane dzieło i najostateczniejszy dla niego wyraz w mowie własnej osiągnąć! — Była to dusza cicha, pełna prostoty, pełna niegasnącego zapału dla wszystkiego, co piękne i głębokie, dusza, skutkiem tego, aż do schyłku młodzieńcza i rwąca się zawsze ku wyższym sferom istnienia ludzkiego. Pamiętam, jak, zakładając *Życie* warszawskie, zjawiłem się u bieluteńkiego już wówczas jak gołąb' staruszka, aby go prosić o przekład *Prometeusza rozpętanego*. Jakże mu oczy zabłysły, jak cała twarz się rozpromieniła, z jakimż zapałem jął mówić o Shelley'u, a potem rozpytywać o zamiary i cele nowego pisma! — Miałem wrażenie takiej młodzieńczości, takiej świeżości, takiego czystego, gorącego entuzyazmu, że wyszedłem od niego poruszony do głębi. — A. Lange powiada o Jezierskim, że odszedł walką życiową złamany. Mam uczucie przeciwne: że Jezierski umierać nawet musiał z wielką, spokojną pogodą, i w ostatniej chwili zapatrzony w te wyżyny, które go całe życie ciągnęły.

O Chrystyanie Grabbem głucho było w Niemczech przez lat kilkadziesiąt. Nawet śmierć nie pomogła mu do popularności. Entuzyastyczne głosy przyjaciół i znawców (Dullera, Immermana, J. Scherra, Freiligratha) przemijały bez echa; gorsze (R. v. Gottschalla) i lepsze (O. Blumenthala) edycye dzieł poety zalegały daremnie półki księgarskie i biblioteczne. Tytaniczny, nieokiełznany, nie znający żadnych niemożliwości, łamiący wszystkie reguły, idący szalonemi skrótami ku wspaniałym syntezom, nie znoszący żadnych wdzięczeń się, sentymentalizmów, banalności, powierzchowności, i chłoszczący je z — nieznanym do dziś w Niemczech — rozszalałym humorem, — nie mógł Grabbe przypaść do smaku swoim rodakom, i urzędowa *Handbuch*- i *Familien*-krytyka z niedbałem politowaniem powtarzała komunał o zmarnowanym geniuszu.

Nagle — o, ten dziennikarski kalendarzyk wszelkich przed- i pośmiertnych jubileuszów! — obejrzano się, że nadeszła setna ro-

cznica urodzin Grabbego. Jakież pismo przepuści taką chronologiczną sposobność? Posypały się więc artykuły i artykuliki. Przedewszystkiem — zwykłym trybem jubileuszowym — zaczęto z hösickowską zajadłością rozgrzebywać życie poety. Gdzieniegdzie zajęto się *także* i jego dziełami, ale — z wyjątkiem dwóch lub trzech rozprawek — w sposób świadczący, że Grabbe (jak powiada P. Kurth) jest ciągle jeszcze „genialnym pisarzem, *mit den sein Volk bis auf den heutigen Tag nichts anzufangen weiss.*“ Dla p. O. Harnacka *(Preussische Jahrbücher)* — że przykład weźmiemy typowy — *Książę Gotlandzki,* „dieses Kannibalenstück,“ jest „prawie utworem obłąkanego,“ a *Don Juan i Faust* są „charakterystycznym dowodem przeherodowującej Heroda wyobraźni Grabbego.“ Tylko *Napoleon* i dramata hohenstaufeńskie znajdują nieco łaski w oczach rozgoryczonego pedanta, który nie może wybaczyć Grabbemu długich złudzeń co do jego realizmu.

Postanowiwszy oddawna — dać, po *Axelu,* „Żart, satyrę, ironię i głębsze znaczenie,“ tę może do dziś jedyną w Niemczech *Literatur-Comödie,* w której Grabbe, pod względem humoru, dowcipu, satyry, rozmachu i głębi, nieskończenie przewyższa analogiczne próby Tiecka (Kot w butach, Książę Zerbino), Schlegla (Opis podróży Kotzebuego), Platena (Wyroczny widelec) i Eichendorfa (Wojna filistrom), — znaleźliśmy się przypadkiem (nie mamy nosa do rocznic!) pośród zgiełku jubileuszowego. Nie wątpimy, że uzupełnią go wkrótce głosy naszych Harnacków miejscowych, którzy z zasady ganią wszystko, co chwali *Chimera,* a tym razem wystąpią z pewnością jeszcze odważniej, mając za sobą *die compacte Majoritaet* Harnacków pruskich.

Przyjaciel jakiś w *Kurj. Warsz.* ogłasza światu, że p. Stanisław Kozłowski „wykończył“ trzyaktową satyrę sceniczną z życia dekadentów francuzkich p. t. „Nowe dreszcze.“ „Stary dreszcz“ nas przebiega na myśl, że „dzieło“ to napisane będzie wierszem... równie blaszanym wierszem, jak sławetny łódzki „Symbolista.“ — Obawiamy się też, że szan. satyryk, zwykłym. u nas trybem, walczyć będzie z widmami swej wyobraźni, ilekroć bowiem zaskoczyliśmy któregobądź z tak licznych u nas pogromców „dekadentyzmu francuzkiego“ skromnem pytaniem: „O kim właściwie pan dobrodziej mówi?“ — z głębokiem zamiast odpowiedzi spotykaliśmy się milczeniem. Każdy z tych czcigodnych krytyków zna i zwalcza kierunki, generacye, sekty, klany, szkoły, falangi, tłumy, nawały dekadenckie! Pojedyńczego dekadenta *ani jednego* żaden nazwać nie umie. Nie są-ż to więc raczej chorobliwe fantazmata ich własnych nie-dekadenckich majaczeń?

P. Choińskiemu ciągle *Chimera* spać nie daje. Przechodząc od teoryi „dekadentyzmu“ (o lube widmo!) do konsyderacyj praktycznych, oświadcza on czytelnikom Gazety Lwowskiej, że opóźnianie się pisma naszego jest „niesłychanem lekceważeniem publiczności.“ — To zależy od zapatrywania, łaskawy panie. Według nas, „niesłychanem lekceważeniem publiczności“ było wydawanie, za pańskiej redakcyi, z najściślejszą regularnością, co tydzień N-ru *Wędrowca,* zapełnionego *byle czem* i wydrukowanego *byle jak.* W ten sposób łatwo było nie opóźniać się ...z fabrykacyą makulatury.

Przy tem — nie zawadziłoby może nieco więcej ścisłości w wyrażeniach, pewne bowiem omyłki i aproksymatywy mogą robić wrażenie złej woli. Wyszło nie 4, lecz 5 N-rów *Chimery,* albowiem N-r 4-5 nie jest — jak znowu inny dzienniczek insynuował subtelnie — „*trochę* większy“ od zwykłego zeszytu, lecz zawiera okrągło *dwa razy tyle* arkuszy i *dwa razy tyle* plansz, co N-r pojedyńczy. *Chimera,* łaskawi panowie, daje, wbrew utartemu zwyczajowi, znacznie więcej, niż obiecywała, — a i spóźniać się zawsze nie będzie.

Erratum. W utworze L. Staffa p. t. *Uroki,* na str. 440 niniejszego tomu, w drugim wierszu od góry, winno być: „najzdrowsze ziarno,“ zamiast „najdroższe ziarno.“

Szanownym abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy, że niniejszy zeszyt 6-ty zamyka kwartał drugi naszego wydawnictwa, i prosimy o jak najszybsze odnawianie prenumeraty na kwartał 3-ci i 4-ty, gdyż druk zeszytów 7-8 (podwójnego) i 9-go (za kwartał 3-ci), oraz 10-11-12 (potrójnego, za kwartał 4-ty), jest na ukończeniu, i N-ra te zostaną rozesłane czytelnikom w odstępach najdalej 10-dniowych.

Dla uregulowania ostatecznego wszystkich kwestyj technicznych i zapobieżenia na przyszłość wszelkim opóźnieniom, rocznik II-gi Chimery rozpoczniemy z d. 1-m kwietnia r. b. — i odtąd czytelnicy nasi odbierać będą bez zawodu zeszyt co miesiąc, a rok Chimery liczyć się będzie zawsze od kwietnia do kwietnia.

Prenumeratę na rocznik II-gi przyjmować zaczniemy dopiero po ukazaniu się ostatniego zeszytu za rok ubiegły.

CHIMERA.

CHIMERA.



SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNYM PORZĄDKIEM WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM II. — 1901.)

STANISŁAW BARĄCZ

Zaćmienie słońca podczas boju starożytnych. 166

WACŁAW BERENT

Próchno, powieść. 178, 398

KAZIMIERZ BRONIEWSKI

KRONIKA MIESIĘCZNA: Sztuka dawna. 325

STANISŁAW BRZOZOWSKI

Wybór utworów 147

CAMPANELLA

Wizya 167

RAMON DE CAMPOAMOR

(przeł. **Antoni Lange***)*

Licencyat Torralba (Przedmowa i Część pierwsza) 361

CHIMERA

KRONIKA MIESIĘCZNA: Varia 356, 515

STANISŁAW DĘBICKI

Rysunki w tekście . . . 75 — 94 — 98 — 99 — 133 — 143 *(przerys.);*
186, 188, 190, 211, 405, 427, 436, 446; 464 *(przerys.)*

ZDZISŁAW DĘBICKI

Oczy. Włosy. Usta 303

WŁODZIMIERZ GARSZYN
(przeł. **J. L.**)
Attalea princeps 156

CHRYSTYAN D. GRABBE
(przeł. **Wacław Berent**)
Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie 463

HIROSHIGE
(przerys. **K. Krzyżanowski**)
Rysunek w tekście 289

HOKUSAI
Rysunki w tekście . . . . . . 435, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 455, 456, 457, 458, 459, 460.

FELIKS JASIEŃSKI
Kronika miesięczna: Muzyka 335

JAN KASPROWICZ
Salve Regina 52

JOHN KEATS
(przeł. **Jan Kasprowicz**)
Hyperion (Księga I) 288

GUSTAW KLIMT
Inicyał 303

KORIN
Rysunki w tekście 156, 165, 447

STANISŁAW KRZYSZTAŁOWICZ
Inicyały 280, 307, 398

KONRAD KRZYŻANOWSKI
Rysunki w tekscie 197, 216

JAN LEMAŃSKI
Mur 168
Lilia woda 309
Nokturn 498

KAZIMIERZ LUBECKI
Z cyklu: Dusze 169

JÓZEF MEHOFFER

Rysunki w tekscie 268, 360,

MIRIAM

Jan Artur Rimbaud 217
KRONIKA MIESIĘCZNA: Poezya 318

KOLO MOSER

Rysunek w tekscie 445

WŁADYSŁAW NAWROCKI

Klinga 170

FRYDERYK NIETZSCHE
(*przeł.* **Stanisław Wyrzykowski**)

Dusza dostojna. 12

T. NOSKOWSKI

Inicyały 1, 305, 414

HENRYK OCHENKOWSKI

Spokój 461

EDWARD OKUŃ

Rysunki w tekscie . . 52, 53, 54, 55, 58, 59, 60, 62, 63, 65, 66, 67, 68, 73, 74, 205, 217, 365, 369, 375, 382, 388.
Okładka do № 4-5.
Winieta na karcie tytułowej tomu.

BRONISŁAWA OSTROWSKA

* * * 171

Z. P.

KRONIKA MIESIĘCZNA: Teatr 503

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Synowie ziemi, powieść 268

WŁ. ST. REYMONT

Komurasaki 446

JULIUSZ SŁOWACKI
(*ogł.* **Edward Porębowicz**)

Niewydane waryanty do Króla-Ducha 1

LEOPOLD STAFF

Zwycięzca 172
Pieśni szaleńca 436

JAN STANISŁAWSKI

Inicyały i zakończenia 178, 413

TREDECIM

KRONIKA MIESIĘCZNA: Glossy. 313, 502

F. VALLOTON

Potret Rimbaud'a. 267

HR. DE VILLIERS DE L'ISLE ADAM
(przeł. **Zenon Przesmycki**)

Axel (*dokończenie)* 75

MARYAN WAWRZENIECKI

Rysunki w tekscie 6, 9, 11, 12, 51, 147, 155, 302, 523, 526
Okładka do № 6.

MAMERT WIKSZEMSKI

Opętał szał 173

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

List 174

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA

Kiedy przyjdziesz? 175

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

Grota 176

MARYAN ZBROWSKI

Serce 177



Chimera.

TOM DRUGI. KWIECIEŃ — CZERWIEC 1901.
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA 7.